ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh.

ROK X. Nr 17 (461)

NIEDZIELA, 22 KWIETNIA 1956 R.

PUNKTY WIDZENIA

DLACZEGO NIE WRACAM?

W dniu 10 kwietnia w „Ognisku Polskim" odbył się wieczór urządzony przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie pn. „Dlaczego pisarze nie wracają do Kraju?" Wśród kilkunastu pisarzy polskich zabrał głos redaktor naszego pisma Józef Kisielewski. Poniżej drukujemy jego przemówienie.

Nie wracam do Polski, do mojego Kraju, dziś z tych samych przyczyn, dla których nie pojechałem zaraz po ustaniu wojennych działań. W owych latach po wojnie urzeczywistniała się rzecz, która w życiu mało którego dziennikarza sprawdziła się tak konkretnie, a mianowicie przedmiot jego nawoływań, którego ziszczeniu poświęcił wiele lat swojego życia, stawał się rzeczywistością: kresowe ziemie zachodnie po wiekach rozłąki wracały do swego macierzystego trzonu. Ludzie narzuconego reżymu, którzy przyjeżdżali wówczas z Kraju i z którymi rozmawiałem, wskazując na fakt niezwykłego w życiu dziennikarza zrealizowania się jego zabiegów, dowodzili, że w takiej chwili miejsce tego człowieka jest w Polsce.

Byłem przeciwnego zdania. W widzeniu tych spraw wychodzę z założenia, że życie duchowe narodu i ziemia, na której on żyje nie są sztonami, które można wymieniać i dokonywać nimi przetargów: w tym samym bowiem czasie, kiedy wracały do Polski zachodnie Ziemie Odzyskane, wydarte zostały Polsce jej ziemie wschodnie, a na cały Kraj nasuwała się czarna i krwawa chmura obcego i nieludzkiego stylu życia, który swoje zwycięstwo osiągał gwałtem i przemocą. Potwierdzając radością powrót ziem zachodnich, rozumiałem, że walka o sprawiedliwość w dalszym ciągu nie została zakończona i tak długo ukończona nie będzie, póki nie zostanie usunięta obca przemoc w rządzeniu Polską, oraz póki nie zostanie oddana zagrabiona ziemia na wschodzie.

Z tych przyczyn nie wróciłem do Kraju w roku 1945. Żadna z ówczesnych przyczyn nie ustała do dziś dnia, istota więc postanowienia nie doznała również zmiany. Chcę natomiast podkreślić, że od tego czasu — według mojego zdania — zmieniła się forma działania, jaka stoi przed nami wszystkimi, którzy zostaliśmy i zostajemy.

W roku 1945, w okresie euforii szczęśliwego pokoju zwycięzców, działanie — jak stwierdzała odezwa Rządu Polskiego z dnia 6 czerwca 1945 roku — ograniczało się dla nas z konieczności do podnoszenia protestu, do przemawiania w imieniu Polski, której odebrano możność zabierania głosu. Być może, iż wiele beznadziejności emigracyjnej ostatnich lat jedenastu w tym właśnie miało swoje źródło, że można było tylko protestować. Dziś — wydaje mi się — jest inaczej, dziś można robić i zrobić o wiele więcej.

Dla każdego Polaka od samego początku było rzeczą oczywistą, że protestując i upominając się o krzywdę naszego Kraju, nie upominamy się tylko o Polskę, ale bronimy wartości, od których zależy cały świat — wartości chrześcijańskich. Dla rozanielonych ludzi Zachodu ta oczywistość nie była jeszcze dostrzegalna, ale w tej chwili widzi ją już każdy, kto tylko chce myśleć na tzw. wolnym świecie.

Obecne formy zadań, jakie emigracja ma w stosunku do swego Kraju, znalazły się już bezpośrednio w samym centrum procesu, zaaplikowanego przez komunizm sowiecki całemu światu. Komunizm ustawia nowy front powszechnego natarcia przed ostatecznym już — jak sądzi — i końcowym zwycięstwem. Na przygotowywanym froncie pojawia się potężna machina oblężnicza w postaci nowego humanizmu, który jest rozwibrowany aktywnością, jak przystało na jurny ruch przyszłości, ale który równocześnie obdarowany został cechami łagodności i współczucia dla ludzkiego losu. Sztabowcy wielkiej kampanii wyznaczyli Polsce rolę eksponowaną, bo rolę modelu nowego humanizmu, podobnie, jak z Finlandii uczyniono kiedyś model respektowania suwerenności politycznej.

Wszyscy, jak tu jesteśmy, wiemy dobrze, że nie sam powrót emigracji jest celem tzw. propagandy powrotowej. Reżymowi komunistycznemu w Polsce jest — moim zdaniem — zupełnie obojętne, czy emigracja wróci do Kraju, czy emigracja rozpłynie się bez reszty w morzu angielskim, amerykańskim i każdym innym. Komunizmowi chodzi tylko o jedno: o to, aby na Zachodzie nie było Polaków czujących po polsku. Chodzi mu bowiem o to, aby pozbyć się świadka w okresie, kiedy żywe ciało Polski będzie przekształcane na kłamliwy model humanizmu przyszłości i używane do wskazywania turystom i głupcom całego świata świecącej powierzchni kłamstwa.

Tylko wiarogodny i czujny świadek może wskazać zbutwiały, rakowaty i fałszywy budulec pod wspaniałością maski. Kraj nie może świadczyć, choć wiedziałby najlepiej, ponieważ zabroniono mu mówić o tym, o czym by mówić chciał najbardziej. Pozostaje tylko emigracja jako czynnik czujności i świadczenia. I dlatego jest wręcz niedogodna. I dlatego powinna być zlikwidowana w jeden z następujących sposobów: przez zwabienie emigrantów do Polski, lub przez zmuszenie ich do psychicznej kapitulacji (nawet przy pozostaniu na emigracji) w myśl sloganu, że jaka tam ta Polska dzisiejsza jest taka jest, ale zawsze to jest Polska, to jest Ojczyzna, a drzewa w Parku Łazienkowskim o zmroku wiosennym szumią jak szumiały w kręgach dzieciństwa. I szumią i pachną i kwitną i osnułyby serce największym szczęściem.

Zmieniła się forma działania emigracji i w inny jeszcze sposób. W latach ubiegłych popełnialiśmy wielki błąd zbyt uporczywego zapatrywania się przede wszystkim w siebie, a zbyt małej pamięci o Kraju. Mówiło się „my" i „oni". Mówiło się „kraj" i „emigracja", jakby to były dwa różne podmioty. Mówiliśmy — jakże często! — a teraz „oni" powinni zrobić tak i tak, zapominając, że tam, w Kraju ludzie stoją codziennie w obliczu określonej konkretnej rzeczywistości, a nie rzeczywistości wydumanej przez nas i przez nas postulowanej. Ten błąd musi zostać teraz naprawiony.

Pierwszym obowiązkiem nowego okresu działania emigracji, obowiązku, który stawiam najwyżej, nad tak zwaną polityką, nad pracami zrzeszania się, nawet nad książką, to obowiązek rozumienia tego, co się naprawdę w Polsce dzieje. Polski emigracyjny duszny zaścianek umysłowy raz wreszcie powinien iść w drzazgi. Ba, nie tylko trzeba rozumieć, ale śledzić ten proces. I zaraz następny obowiązek — nieść odwód. W postaci czujnego chwytania w lot fałszywych liczmanów „humanizmu przyszłości", konfrontowania ich z naszą wiedzą o nurtach świata, przymierzania do naszych doświadczeń nabytych w wieloletniej tułaczce po centrach polityki — i odsyłania skorygowanych wszelką bezpieczną drogą z powrotem, aby stawały się kryteriami do oceny ludzi na miejscu w Kraju, ludzi poddawanych procesowi preparowania.

I wreszcie ostatni wielki obowiązek — w okresie obecnej ofensywy humanistycznych kłamstw komunizmu, szerzonych we wzmożonej i zręczniejszej formie: dawanie świadectwa temu, co jest w zaofiarowywanym Zachodowi przez Sowiety towarze fałszem, oraz na czym ten fałsz polega.

Słowem wykonywanie tych wszystkich czynności, które wynikają z charakteru niezależnego, nieuprzedzonego, prawdomównego — świadka. Rola człowieka pióra jest przy tym bardzo osobliwa i bardza, bardzo gorzka.

Osobliwa, ponieważ musi być wykonywana niejako podwójnie, za siebie i za swego czytelnika.

Gorzka zaś jest ta rola przez to, że przecież nie za wiele byłoby chyba wymagać, aby pióro pisarskie nie musiało być przez okres aż całego pokolenia orężem, lecz żeby mogło być choć trochę, choć kilka lat — lutnią. Tymczasem z całej sytuacji wynika, że w tym pokoleniu musi być przede wszystkim orężem.

Są zawody, w których nigdy nie można wymknąć się odpowiedzialności ani na chwilę. Można kiedyś było wybrać inny zawód, można było szukać stanowisk mniejszej odpowiedzialności, zawodu o bardziej całych podeszwach i choćby o tej dozie słodyczy, jaką daje złuda polityki, a mniejszych wymagającego wysiłków. Gdy się jednak raz wybrało, nie ma odwrotu i nie ma kompromisu.

Dokądże celniej, jeśli nie do świata pisarskiego, mogły trafić apele powrotu i pokusy, aby w otoczeniu swojszczyzny wypowiedzieć tęsknoty serca, rzucające most między tą późną porą każdego z nas a czasem młodości? Komuż bliżej i zrozumialej mogą szumieć łazienkowskie drzewa, jeśli nie polskiemu poecie?

Ale pisarz emigracyjny dobrze pamięta, że na ziemi polskiej oprócz drzew, rzewnych zasłuchań i wspomnień dzieciństwa — żyją też żywi ludzie. A ci, gdy im teraz zaszumi drzewo, milczą. Bo do współszumienia z ziemią ojczystą potrzebna jest jej — wolność.

Józef Kisielewski

LLOYD C. DOUGLAS

S Z A T A*)

Demetriusz opóźnił wyjście celowo. Z niemałym trudem wypytał się o drogę do miejsca egzekucji. Jakiegoś dalekiego pola, gdzie palono miejskie odpadki. Nie spodziewał się, że przybędzie na czas, ażeby na własne oczy zobaczyć początkową fazę ukrzyżowania. Mimo spóźnienia, posuwał się ociągliwym krokiem. Czuł się przygnębiony. Na duszy osiadł ciężarem frasunek, jakiego nie pamiętał od dnia, kiedy dostał się w niewolę. Czas wyleczył blizny od kajdan na rękach. Dobre traktowanie ze strony rodziny Gallów przyczyniło się wielce do uzdrowienia serca. Dziś jednak zdawało mu się, że na tym świecie nie było miejsca dla cywilizowanego człowieka. Każda instytucja ludzka pełna była kłamstw. Sądy były przedajne. Sprawiedliwości nie uświadczyłeś na lekarstwo. Każdego władcę mogłeś przekupić. Nawet w świątyniach roiło się od oszukaństwa...

Demetriusz przeklinał z pasją każdy trybunał i każdy sąd. Każdą koronę i każdy konsystorz na tym całym szerokim i złym świecie. Patriotyzm! Jakże to poeci oraz minstrele lubowali się w paplaninie o jakimś wielkim zaszczycie przelewania krwi! A może i ich również przekupiono? Taki, dajmy na to, stary Horacy. Być może, że August posłał mu w podarunku nowy płaszcz oraz bukłak z winem, i to go natchnęło do napisania słów: „Jak słodko i zaszczytnie umierać za ojczyznę!" Nonsens! Dlaczego człowiek o zdrowych zmysłach miałby uważać, że oddawanie życia dla zbawienia świata jest rzeczą przyjemną oraz szlachetną? Świat nie był odpowiednim miejscem, ażeby na nim żyć. A co dopiero, ażeby za niego umierać! I nigdy nie będzie lepszy. Przypatrzcie się tylko temu śmiałkowi z Galilei! Tak bardzo Go rozgniewało zniesławienie jakiejś świątyni, że pod wpływem impulsu zaprotestował przeciwko temu jakimś bezskutecznym gestem. Nie ulega wątpliwości, że na dwudziestu ludzi w tym bezpłodnym, żebraczym kraju — dziewiętnastu chwaliłoby w duszy junacką zuchwałość tego biedaka. Ale kiedy przyszła chwila próby, to owe uciskane przez nędzę przeklęte nicoty pozwoliły, ażeby ów Jezus samotnie stanął, bez jednego przyjaciela, przed obliczem oficjalnego reprezentanta fałszywej Świątyni oraz fałszywego Imperium.

Lojalność! Dlaczegóż to człowiek miałby zawracać sobie głowę jakąś tam lojalnością? Niech sobie ten Jezus wystąpi sam. I niech sam ocali swoją głowę, jeżeli Go na to stać. Dlaczego to właśnie ty miałbyś ofiarowywać swoje życie, drepcąc po piętach jakiegoś rzymskiego pana, który raz ci ufa, a raz cię upokarza? Czy straciłbyś osobistą godność, gdybyś porzucił tego arystokratę? Przecież nie trudno było uciec do Damaszku.

Był to ponury dzień dla Demetriusza. Nawet niebo zasłały ponure, ołowiane chmury. O świcie świeciło jasne słońce. Od przeszło pół godziny zagęszczał się prawie złowieszczy mrok.

Kiedy zbliżał się do niesławnego pola — które na odległość można było rozpoznać po smrodliwym dymie unoszącym się z tlejących odpadków — napotkał wielu ludzi, którzy szybko wracali do miasta. Przeważnie mężczyźni. Dobrze odżywieni, dobrze odziani, pompatyczni, zafrasowani. W średnim wieku lub starsi. Kroczyli w pojedynkę, jak gdyby każdy z nich przyszedł tutaj z osobna. To właśnie ci ludzie — wnioskował sobie Demetriusz — odpowiedzialni byli za dzisiejszą zbrodnię. Ulgę przyniosło mu uczucie, że najgorsze już minęło. Owi ludzie byli naocznymi świadkami udanego zakończenia tej publicznej zbrodni. Teraz są wolni. I wrócą spokojnie do swoich banków oraz bazarów. A niektórzy z nich na pewno zajdą do Świątyni, ażeby odmówić modlitwy.

Kiedy minął ostatnią, porozrzucaną grupę lepianek, otwarło się przed nim odrażające, śmieciem zawalone pole. Stosunkowo czysta i wąska ścieżka prowadziła ku niewielkiemu wzniesieniu. Widocznie je chroniono. Demetriusz zatrzymał się i patrzał. Na zielonym wzgórzu stały rzędem wysokie krzyże. Zapewne, po namyśle, zadecydowano, ażeby powiesić również dwóch przyjaciół Galilejczyka. A może dwóch spośród nich oszalało na myśl o tym, jakie tortury czekają ich przywódcę? I może to oni właśnie próbowali stanąć w jego obronie? Mało prawdopodobne. Nie mieli odwagi. W każdym razie nie ci, których Demetriusz widział owego dnia na drodze. Ani nie ci, których widział dzisiaj rano.

Przymuszając do chodu niechętne nogi, podsunął się powoli na odległość mniejszą niż stajanie od tej okrutnej sceny. Zatrzymał się. Dwaj nieznani ludzie wili się na krzyżach. Samotny człowiek na środkowym krzyżu wisiał jak spokojny posąg. Głowa opadła Mu w dół. Może już nie żył lub przynajmniej utracił przytomność — łudził się nadzieją Demetriusz.

Stał tutaj długo i rozmyślał nad tragicznym widowiskiem. Rozpalony do czerwoności gniew, co go niemal dusił, ochłodził się teraz wyraźnie. Samotny Człowiek oddał swoje życie po próżnicy. Nic nie zostało z Jego zuchwałej odwagi. Świątynia będzie w dalszym ciągu oszukiwać chłopków, co przyjdą ofiarowywać jagnięta. A Herod w dalszym ciągu będzie tyranizował i bił biedaków, jeśli niewygodni będą dla bogaczy. A Kajfasz w dalszym ciągu będzie potępiał ludzi, którzy nie zechcą, ażeby bożków sprowadzano na rynek. A Piłat w dalszym ciągu będzie wymierzał niesprawiedliwość — i brudne ręce w srebrnej miednicy będzie umywał. Ów samotny Człowiek wielką cenę zapłacił za krótką i bezowocną wojnę, jaką wypowiedział złu. Ale On nauczał i działał. A jutro nikt nie będzie pamiętał, że On wszystko postawił na szali. Że w obronie uczciwości postradał życie. A może na tym świecie — na którym dziać się mogą podobne rzeczy — lepiej by było, ażeby ten Człowiek umarł? Również i Demetriusz czuł się bardzo samotny.

Tłum nie był znowu taki wielki, jak się Demetriusz spodziewał. I nie było nieporządku. Prawdopodobnie dlatego, że legioniści rozproszyli się pomiędzy ludźmi. Z obojętnej postawy żołnierzy, którzy poopierali się o lance, widać było, że nie doszło do żadnych zaburzeń i że żadnych zaburzeń nie przewidywano.

Demetriusz podsunął się bliżej i wszedł w zewnętrzny krąg widzów. Nie było tu wielu bogaczy, owych znakomitości z Insuli. Większość ubrana była biednie. Wielu płakało. Nieliczne kobiety, gęsto zawoalowane, postłaczały się w malutkie grupki i stały w postawie rozpaczliwego bólu. Duże półkole u podnóża krzyży było wolne.

Bokiem wbijał się Demetriusz w tłum i od czasu do czasu podnosił się na palcach w poszukiwaniu swojego pana. Zatrzymał się obok jednego z legionistów, który go rozpoznał krótkim skinieniem głowy i odpowiedział na jego ściszone pytania. Oto dowódca, wraz z kilkoma innymi oficerami, znajdował się po przeciwnej stronie wzgórza, poza krzyżami — powiedział legionista.

— Przyniosłem mu trochę wody — wyjaśnił Demetriusz, podnosząc w górę dzban. Legionista ukazał w uśmiechu szczerbatą szczękę.

— Czy ten Człowiek umarł? — zapytał Demetriusz.

— Nie. Coś tam powiedział przed chwilą.

— Co? Słyszałeś?

— Powiedział, że pić mu się chce.

— I dali Mu wody?

— Nie. Nasycili gąbkę octem, zmieszanym z jakimś balsamem, i podnieśli to do Jego ust. Ale odmówił. Nie wiem dobrze, za co On tam wisi, ale wiem, że to nie tchórz. — Legionista zmienił postawę, ręką wskazał na ciemniejące niebo, zauważył, że zbiera się na burzę — i wszedł w tłum.

Demetriusz nie popatrzył już po raz drugi na samotnego Człowieka. Wycisnął się z tłumu i szerokim obejściem doszedł na drugą stronę wzgórza. Marcellus, Paulus, oraz czterech czy pięciu innych oficerów, małym kołem porozsiadali się na ziemi. Skórzanym kubkiem na kości potrząsali od niechcenia i podawali go sobie z rąk do rąk. Na ten widok krew zawrzała w Demetriuszu z oburzenia. Ten brutalny brak uczuć nie leżał w naturze Marcellusa. Uczciwy człowiek musiałby się naprawdę tęgo upić, żeby w takich okolicznościach okazywać tak bezduszną obojętność.

Skoro jednak tu przyszedłem — pomyślał sobie Demetriusz — to powinienem się zapytać, czy mój pan czegoś nie potrzebuje. — Podszedł więc powoli do grupy zabawiających się oficerów. Upłynęła chwila, zanim Marcellus popatrzył na niego mglistym spojrzeniem i kiwnął głową. Inni spojrzeli przelotnie i podjęli grę na nowo.

— Czy chciałeś mi coś powiedzieć? — wybełkotał Marcellus.

— Przyniosłem ci trochę wody, panie.

— Dobra. Postaw to tam. Napiję się później. — Przyszła na niego kolejka. Śpiąco potrząsnął kubkiem i wyrzucił kość.

— Twój szczęśliwy dzień — mruknął Paulus. — Nie gram dalej! — Wyciągnął długie ramię a palce podłożył pod głowę. — Demetriuszu — powiedział, ruchem głowy wskazując na pomiętą, brązową okrywę, co walała się u stóp środkowego krzyża — podajno mi ten płaszcz. Chcę mu się przyjrzeć.

Demetriusz podniósł odzienie i podał Paulusowi. Ten przyglądał mu się z leniwym zainteresowaniem.

— Niezła szata — zauważył, trzymając ją wysoko w wyciągniętej dłoni. — Utkana na wsi, farbowana orzechowym sokiem. Nie będzie już jej więcej potrzebował. Co by się stało, gdybym tak powiedział, że do mnie należy? Co ty na to, trybunie?

— Dlaczego ma należeć do ciebie? — zapytał Marcellus obojętnie. — Jeżeli coś warta, to rzucajmy o nią kości. — I wręczył Paulusowi kubek: — Duży numer wygrywa. Twoja kolej.

Z północy odezwał się niski pomruk grzmotu a dziki język płomienia przeskoczył poprzez czarną chmurę. Paulus wytrząsnął parę trójek i z niepokojem spoglądał w niebo.

— To nie trudno pobić — rzekł siedzący tuż przy nim Winicjusz. Podjął kubek i wyrzucił piątkę oraz czwórkę. Kubek obszedł wokoło, nie poprawiwszy rezultatu — dopóki nie dostał się w ręce Marcellusa.

— Podwójna szóstka! — zawołał. — Demetriuszu, zaopiekuj się tą szatą. — Paulus wręczył mu odzienie.

— Czy mam tutaj czekać, panie?

— Nie. Nic tutaj teraz po tobie. Wracaj do Insuli. Musimy ruszać wczesnym rankiem — Marcellus popatrzył w niebo — Paulusie, idźno i zobacz jak oni tam sobie dają radę. Na burzę się zanosi. — Podniósł się ciężko na nogi i stanął, słaniając się. Demetriusz miał ochotę wziąć go pod ramię i podeprzeć. Czuł jednak, że wszelka troskliwość z jego strony spotkałaby się z odrazą. Jego oburzenie przycichło teraz. Było rzeczą oczywistą, że Marcellus pił. Na trzeźwo nie byłby w stanie wykonać tego okrutnego dzieła.

Odezwało się głuche, oszałamiające uderzenie pioruna, które zatrzęsło ziemią pod ich nogami. Marcellus wyciągnął rękę i oparł się o środkowy krzyż. Kiedy odzyskał równowagę, zobaczył krew na ręce. Wytarł ją o togę.

Jakiś tłuścioch, ubrany w kosztowną czarną szatę, wytoczył się z tłumu i z cierpką arogancją zwrócił się do Marcellusa.

— Czemu nie zwymyślasz tych ludzi? — krzyczał ze złością. — Powiadają, że ta burza to sąd na nas!

Znowu zahuczał gigantyczny grzmot.

— A może to i sąd! — zawołał zuchwale Marcellus.

Tłuścioch wywijał groźnie pięścią.

— To twój obowiązek, żeby tu trzymać porządek! — piszczał.

— Czy chcesz, ażebym powstrzymał burzę? — zapytał Marcellus.

— Chcę, żebyś powstrzymał te bluźnierstwa! Ci ludzie wołają, że ów Galilejczyk jest Synem Boga!

— A może i j e s t! — zawołał Marcellus. — Ty nie będziesz o tym wiedział. — I zaczął bawić się rękojeścią miecza. Tłuścioch wycofał się, odszczekując, że prokurator dowie się o tym.

Okrążając wzgórze Demetriusz zatrzymał się, żeby po raz ostatni popatrzeć na samotnego Człowieka, co wisiał na środkowym krzyżu. Właśnie podniósł On głowę i wpatrywał się uparcie w czarne niebo. Nagle z ust Jego wyrwało się donośne wołanie. Jak gdyby skarga do jakiegoś dalekiego przyjaciela o pomoc.

Jakiś biednie odziany brodacz w średnim wieku — widocznie jeden z przyjaciół Galilejczyka z prowincji — wyskoczył z tłumu i zbiegał ze wzgórza, płacząc na głos, jak gdyby w napadzie rozpaczy. Kiedy potknął się mimo, Demetriusz uchwycił go za rękaw.

— Co On powiedział?

Brodacz nie dał żadnej odpowiedzi. Wyrwał się z tłumu i biegł, lamentując niezrozumiale.

Umierający Galilejczyk patrzył teraz w dół, na tłum. Poruszyły się Jego wargi. Oczy wodziły po ludziach z tym samym smutkiem, jaki wyrażały na drodze, kiedy tłumy okrzykiwały Go jako swojego króla. Znowu odezwał się dziki grzmot. Pociemniało.

Demetriusz zawinął szatę i wsunął ją pod tunikę, przyciskając ją mocno ramieniem. Intymny dotyk odzienia przyniósł ulgę uczuciu samotności. Zastanawiał się, czy też Marcellus nie oddałby mu tej szaty. Jakież to byłoby pokrzepienie posiadać coś, co nosił na sobie ów odważny Człowiek! I co to byłoby za przeżycie, gdyby się tak znało tego Człowieka! Gdyby się poznało naturę Jego myśli! Teraz nie ma już jednak sposobności, żeby się Jego przyjaźnią cieszyć. Jedyną trwałą pociechę znaleźć by można, gdyby się Jego szatę na własność posiadło!

Odwrócił się i zapłakanymi oczyma zaczął zstępować ze wzgórza. Zapadła taka ciemność, że wąska ścieżyna stała się niewyraźna. Poprzez ramię rzucił okiem wstecz. Ale zapadający mrok pochłonął wzgórze.

Kiedy doszedł do ulic miasta, noc już zapadła nad Jerozolimą, chociaż było to jeszcze południe. W oknach błyszczały już światła. Przechodnie poruszali się wolno, z pochodniami w rękach. Nawoływały się przerażone głosy. Demetriusz nie był w stanie tych nawoływań zrozumieć. Czuł jednak, że ton ich był bojaźliwy. Jak gdyby dziwiły się skąd się wzięła owa ciemność. I on sam dziwował się, ale nie odczuwał ani przygnębienia, ani strachu. Opuściło go uczucie, że jest samotny i że go nikt nie chce na tym nieprzyjaznym świecie. Nie był teraz samotny. Do boku swojego tulił mocno szatę — jak gdyby zawierała jakieś niewytłumaczone lekarstwo na ból serca.

Kiedy przybył do koszar, Melas stał w drzwiach wiodących do izby Paulusa. Demetriusz nie znajdował się w nastroju do rozmowy. Zmierzał prosto do kwatery swojego pana. Melas postępował za nim z pochodnią.

— No i poszedłeś tam, co? — odezwał się ponuro Tracyjczyk — I jak ci się to tam podobało? — Weszli do izby i Melas porozpalał od pochodni wielkie kamienne lampy. Nie otrzymawszy odpowiedzi na szorstkie pytania, odezwał się:

— Cóż ty sądzisz o tej ciemności? Zaćmienie słońca?

— Nie wiem — odparł Demetriusz. — Nie słyszałem nigdy, ażeby zaćmienie słońca trwało tak długo.

— A może to koniec świata? — rzekł Melas, zmuszając się do niewybrednego śmiechu.

— To by mi całkowicie odpowiadało — odparł Demetriusz.

— Czy uważasz, że ów Jezus miał z tym coś wspólnego? — zapytał Melas na pół serio.

— Nie. Nie wydaje mi się.

Melas przysunął się bliżej i wziął Demetriusza pod ramię:

— Czyś myślał co na temat Damaszku? — szepnął.

Demetriusz potrząsnął głową z obojętnością:

— A ty? — zapytał.

— Ja idę dzisiaj w nocy — rzekł Melas. — Prokurator ma zawsze zwyczaj urządzać przyjęcie dla oficerów w ostatnią noc. Kiedy się to skończy i kiedy położę do łóżka swojego centuriona, który będzie pijany jak bela, ruszam w drogę. Lepiej zrobisz, jeżeli się ze mną wybierzesz. Długo będziesz czekał, nim nadarzy się taka sama dogodna okazja.

— Nie. Nie idę — odparł Demetriusz stanowczo.

— Ale mnie nie zdradzisz, prawda?

— Na pewno nie.

— Jeżeli zmienisz zdanie, mrugnij na mnie w czasie uczty. — Melas posunął się wolno w kierunku drzwi. Demetriusz myśląc, że już odszedł, wyjął z zanadrza szatę i rozwinął ją pod światło.

— Co ty tam masz takiego? — zapytał Melas od drzwi.

— Jego szatę — odparł Demetriusz, nie odwracając się.

Melas zawrócił od progu i z milczącym zainteresowaniem przypatrywał się zbroczonemu krwią odzieniu.

— Jakim sposobem dostała się w twoje ręce? — zapytał przerażonym tonem.

— Należy do legata. Oficerowie rzucali o nią kości. On ją wygrał.

— Nie wydaje mi się, żeby mu się na coś przydała. Na pewno mu się nie przyda. Ale może sprowadzić na niego nieszczęście.

— N i e s z c z ę ś c i e? Dlaczego? — zapytał Demetriusz. — Przecież to była szata odważnego Człowieka.

tłum. Wiesław Pisarczyk

---

*) **Fragment powieści „The Robe", której przekład ukaże się nakładem Katolickiego Ośrodka Wyd. „Veritas" w serii „Biblioteki Polskiej" (subskrypcja I tomu w lipcu br., II tomu w sierpniu br.).**

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

„Tydzień Biblii". Stosownie do decyzji Episkopatu Wenezueli zorganizowano „Tydzień Biblii", który trwał od Niedzieli Wielkanocnej do Niedzieli Przewodniej. Liczne przemówienia podkreślały znaczenie czytania Pisma Świętego; poczyniono też ułatwienia w nabywaniu go.

Prymat miłości. „Osservatore Romano" w numerze z 23 marca omawia wydaną w tłumaczeniu na język włoski książkę o. Ludwika Colina, francuskiego pisarza ascetycznego, „Primato dell'amore", Marietti, 1956, str. 365. Autor recenzji stwierdza: „Gdy czytam w sercu szłowieka, gdy otwieram Ewangelię, gdy przebiegam List św. Pawła, gdy patrzę w oczy matki, gdy obserwuję życie kapłana, gdy studiuję dzień zakonnicy, gdy wpatruję się w oblicze dziewicy, gdy słucham głosu oblubieńca — znajduję wszędzie jako dominantę słowo: miłość." Książka jest przeznaczona na dziesięciodniowe ćwiczenia duchowne na temat cnoty miłości. Każdy dzień zawiera wprowadzającą instrukcję, trzy medytacje, cztery szczegółowe rachunki sumienia, cztery rozmowy, jeden rachunek sumienia ogólny. Rozpracowane są zagadnienia: obowiązek miłości, wrogowie miłości, środki zdobycia i pogłębienia miłości, promieniowanie miłości, Maryja Matką pięknej Miłości. Książkę jakby streszcza powiedzenie autora: „...dla nas zakonników i księży miłość jest wszystkim: pokojem, radością, mocą, wiernością, żarem, świętością, płomiennością apostolską, wytrwaniem, zbawieniem." Ale także i dla osób świeckich!

Oprócz konkursów piękności. W Stanach Zjednoczonych od kilku lat praktykuje się wybór „Idealnej Niewiasty". Jest to wybór, który nie uwłacza godności szanujących się niewiast, jak to często dzieje się przy wyborach tzw. królowych piękności. W roku bieżącym „Idealną Niewiastą" na rok 1956 została uznana przez jury siostra Fryderyka Horvath, przełożona generalna sióstr Służby Społecznej, w Kalifornii. Jest ona Węgierką-emigrantką, zbiegłą przed komunistami.

Międzynarodowy Kongres Muzyki Religijnej. Dotychczas odbyły się dwa międzynarodowe kongresy muzyki religijnej, pierwszy w Rzymie w 1950 r., drugi w Wiedniu w 1954. Obecnie trzeci odbędzie się w roku przyszłym 1957 w Paryżu od 1 do 8 lipca. Tematem obrad będzie muzyka religijna w świetle najnowszej encykliki Piusa XII „Musicae Sacrae disciplina" z 25 grudnia 1955 r. Na czele organizującego komitetu stoi rektor Instytutu Katolickiego w Paryżu, biskup tytularny Emil Arseniusz Blanchet, który pozostaje w ścisłym kontakcie z kardynałem Feltinem, arcybiskupem Paryża, z arcybiskupem Rouen Martinem i dyrektorem Papieskiego Instytutu Muzyki Religijnej, prałatem domowym Jego Świątobliwości, ks. Pamies Igino Anglès. Jak wiadomo, św. Pius X założył w 1911 r. Wyższą Szkołę Muzyki Religijnej, Pius XI zaś konstytucją apostolską „Deus scientiarum Dominus" nazwał ją Papieskim Instytutem Muzyki Religijnej. Honorowym jego dyrektorem jest znany kompozytor, prałat domowy Jego Świątobliwości, ks. Lorenzo Perosi, dożywotni dyrygent, maestro direttore perpetuo, chóru papieskiego Cappella Musicale Pontificia.

Zmartwychwstaniec biskupem na Bermudach. W kościele Najśw. Maryi Panny w Kitchener, Ontario, Kanada, odbyły się uroczystości konsekracji biskupa Roberta Stefana Dehlera przy udziale około 300 biskupów, prałatów i kapłanów. Konsekratorem był arcybiskup Gerald O'Hara, delegat apostolski w Wielkiej Brytanii. W uroczystości brało również udział wielu kapłanów ze zgromadzenia księży zmartwychwstańców, wśród nich o. Jan Mix, przełożony generalny zgromadzenia, który przybył z Rzymu oraz o. Stanisław Fiołek prowicjał amerykański tegoż zgromadzenia.

Biskup Dehler liczy obecnie 66 lat. Święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1914. Pracował jako wychowawca i misjonarz. Był prezesem St. Jerome's College w Kanadzie. Od 1954 był prefektem apostolskim na Bermudach, gdzie obecnie obejmie obowiązki wikariusza apostolskiego. Jego instalacja w kościele św. Teresy na Bermudach odbędzie się przy udziale arcybiskupa O'Hary w dniu 4 kwietnia w mieście Hamilton. Administracja na Bermudach rozwija się szybko pod względem organizacyjno-kościelnym dzięki energicznej i pełnej poświęcenia pracy zgromadzenia księży zmartwychwstańców.

VI Międzynarodowy Kongres Śpiewaków Chłopców. Znani także na terenie Anglii „Mali Śpiewacy Krzyża Drewnianego" w Paryżu rozrośli się w międzynarodową organizację, mającą swe grupy w 70 krajach i wielką ambicję objęcia całego świata, by kiedyś można było słusznie powiedzieć: „wszyscy chłopcy świata będą opiewać chóralnie Pokój Boży". Organizacja wydaje własny biuletyn „Pueri Cantores" i dotychczas urządziła pięć międzynarodowych kongresów małych śpiewaków: odbyły się one w Paryżu w 1947, w Kolonii w 1953 i w Rzymie w 1949, 1951 i 1954. Obecny kongres szósty odbędzie się w Paryżu od 4 do 10 lipca. W kongresie tym wezmą udział prawdopodobnie także mali śpiewacy z Haify i Sydney.

STANISŁAW GROCHOLSKI

Ś. P. TOMASZ ARCISZEWSKI

W wietrzny poranek 20 listopada 1955 roku, gdy tłumy wolnych Polaków żegnały na londyńskim cmentarzu nestora polskich przywódców, odwracała się, bardziej wyraźnie niż to bywa zazwyczaj na pogrzebach politycznych, karta historii... „Nad ubogim i smutnym dzieciństwem Arciszewskiego — mówił u grobu Tymon Terlecki — nachylała się czarna noc popowstańcza, leżał nad nim straszliwy ucisk walki daremnej, gorzkiej klęski i okrutnego prześladowania. Dorastał, kiedy budziła się nowoczesna świadomość społeczna i polityczna..." Odszedł sędziwy współtwórca i świadek tych czasów, gdy po roku 1863 otwierał się nowy, dawno już miniony, okres życia narodu, życia i działania polskiego świata pracy...

Stanęli nad trumną wszyscy: kler i władze, partie i organizacje społeczne, towarzysze partyjni i rodacy, czerwone sztandary i krzyże...

◆

Wspomnienia o Tomaszu Arciszewskim wypowiedziano, wypisano wszędzie i słusznie, bośmy wszyscy za nim stanęli w dobie oporu wobec zdrady jałtańskiej, gdy — jak to przypomniał Edward Raczyński — prasa aliancka nazwała nas „Arciszewski Poles" — „Polakami Arciszewskiego". Wszyscysmy żyrowali ten jego niezaprzeczalny tytuł do miejsca trwałego w polskiej historii politycznej.

Polska prasa katolicka, jak cała prasa polska, za wyjątkiem niepolskiej prasy „języka polskiego" w podbitym Kraju, składała hołd pamięci zmarłego. Dziś warto może, na łamach tygodnika katolickiego, zastanowić się nad nauką, jaka płynie z tego zgonu, a raczej z tego życia. Żeby, poprzez to życie i ten zgon, dotknąć spraw kierunku, którego chorążym był zmarły, i zastanowić się, jaki jest stosunek znaków, pod którymi walczył Arciszewski przez lat 70, do naszych znaków, gdy jedne i drugie spotkały się nad jego grobem...

Żeby te zagadnienia rozpatrzyć w sposób właściwy, trzeba by przygotowania i studiów tak rozległych, jak te dziedziny, które przeorał socjalizm i jego fermenty. Dyskutowanie dzisiaj stosunku socjalizmu i religii to przedsięwzięcie śmiałe, skoro puścizna założycieli tego kierunku podlega przemianom zasadniczym, a sami wyznawcy „demokratycznego socjalizmu" nie rozwiązali dylematów. Zawsze chyba jednak warto rzucić mysli, które mogą wywołać dyskusje, lub przyczynić się do dalszych omówień tego tematu.

Naukę z życia Tomasza Arciszewskiego wysnuć łatwo. Wystarczy to życie sobie dobrze przypomnieć; przemyśleć niezwykłą w swej zwyczajności gotowość robienia tego, co robić wypadło polskiemu robotnikowi, który chciał ojczyznę wyzwolić; zdać sobie sprawę z wartości instynktownego a tak naturalnego jak powietrze i chleb wyczucia drogi właściwej, odparcia pokus komunistycznego socjalizmu, przekucia poczucia krzywdy, zawiści klasowych na walkę z najeźdźcą, na pragnienie budowania, na miłość społeczną... Dziesięcioletni garbarski robotnik w Radomiu, szesnastoletni kotlarz w Sosnowcu; socjalista, ale polski; bojowiec; emigrant polityczny w roku 1898, gdy wielu z nas jeszcze nie było na świecie, rewolucjonista z „Frakcji"; zamachowiec; więzień carski i pruski; legionista; redaktor w Warszawie „Jedności Robotniczej"; minister opieki społecznej w „rządzie lubelskim"; poseł do Sejmu z Zagłębia Dąbrowskiego; budowniczy Domu Ludowego w Dąbrowie Górniczej; radny miejski m. Warszawy; założyciel Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci; przewodniczący podziemnej Rady Jedności Narodowej Polski Walczącej z okupantem niemieckim; następca prezydenta R. P.; premier rządu Rzplitej, odmawiającego kapitulacji wobec Sowietów; opiekun Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Młodzieży na wygnaniu; przewodniczący Rady Politycznej i architekt Zjednoczenia; senior Rady Trzech, organu zwierzchniego osiągniętej Jedności Narodowej. A więc praca, a więc walka, a także i opieka społeczna, jednoczenie i troska o dzieci... Powtórzmy słowa Tymona Terleckiego znad trumny, gdy żegnał Tomasza Arciszewskiego w imieniu Rady Jedności Narodowej: „Człowiek z jednej bryły; człowiek, w którym niepodobna doszukać się rysy duchowej; człowiek, który się nigdy nie wahał, nigdy nie kluczył, nigdy nie uginał; człowiek, który także o nic dla siebie się nie ubiegał... którego znamionowała prostota, absolutna, prawie dziecięca naturalność..." Była w nim cnota miłości, która rodzi gotowość ofiary; umiejętność pojednania się z przeciwnikami; chęć pojednania się z Bogiem... Zamiast podniesionej, zaciśniętej pięści — otwarta ręka do zjednoczenia, ręka głaszcząca główki dziecięce... A przecież „towarzysz Stanisław" umiał używać pięści i wybuchać gniewnie. Tylko duch w nim nie był zarażony trucizną obcej doktryny, trucizną nihilizmu; kwiat „polskiego socjalizmu... rodzimego, bardzo swoistego typu..." Takiego już nie będzie.

◆

Ten „polski socjalizm" zawsze obfitował w paradoksy. Z ostatnich, powojennych opracowań, choćby broszura Zygmunta Zaremby „60 lat walki i pracy PPS", czytana przez obserwatora zewnętrznego, uwypukla jak mało miał w sobie ten „polski socjalizm" z doktryny marksistowskiej, z nienawiści, z destrukcyjnej rewolucyjności.

Na mniejszą szkodę Krajowi, nie doktryna obca, ale swoi ludzie, ich dążenia, ich działalność, ich instynkty decydowały w partii o „klimacie wewnętrznym, ideowym", który takim jak Arciszewski pozwalał zostać sobą. Na ludzi trzeba patrzeć, na gatunek Polaków. Dlatego trudno się zgodzić z twierdzeniem autora broszury, że „oblicze partii" było „zawsze jednakie"...

To prawda, że krzywdy były i że socjalizm w ogóle, a polski socjalizm u nas pomogły krzywdy uświadomić, wydobyć na jaw i napiętnować, żeby się z nimi uporać. Prawda także, iż uchwała zjazdu PPS w Montrouge w roku 1892 „linię ideologiczną nowej partii zawarła w myśli o konieczności ścisłego zespolenia walki społecznej z walką polityczną, walki o polepszenie bytu klasy robotniczej z walką o polityczne wyzwolenie kraju..." Ale to przecie program ogólno-narodowy wielu prawidłowo, a nie wstecznie myślących Polaków. „Idea socjalizmu i niepodległości narodowej zostały ze sobą nierozdzielnie splecione" — tak nierozdzielnie, że bojowcy pepesiaccy szli do legionów ex-socjalisty Piłsudskiego. Sentyment nie doktryna dominował: choć zjazd zjednoczeniowy PPS w roku 1919 „stanął zdecydowanie na stanowisku parlamentaryzmu", w roku 1926 partia poparła b. komendanta z „Frakcji Rewolucyjnej" z roku 1906... Nic dziwnego, że ci dziedzice Marksa i Engelsa, którzy uważali się za reprezentantów autentycznych ich uniwersalnej spuścizny, nazywali socjalizm polski — „białą gęsią", ku chwale polskiej braci robotniczej. Wetkali Polacy w czerwony sztandar orła białego!

◆

Nie znajdujemy w broszurze wydanej na 60-lecie PPS sformułowań w sprawie stosunku socjalizmu międzynarodowego czy polskiego do religii. Jak gdyby ten temat nie istniał. Określenia takie jak „postęp duchowy" pozostają bezprzedmiotowe bez sprecyzowania podstaw filozoficznych czy teologicznych. Może nie jest przypadkiem, że odkryć dopiero można tematykę religijną w... piosence, w dwu urywkach, jakie broszura cytuje: wcześni bojowcy śpiewali po 1863 roku słowa „Pieśni Proletariatu" Wacława Święcickiego: „...Nikt za ideę nie ginie marnie — Z czasem zwycięży Chrystus Judasza..." Bardziej świecki ton bije z piosenki popularnej z okresu po pogromie rewolucji 1905 roku: „...Swoboda, bracia, to nasz bóg — Użyjmy więc żywota..." — Czy można z tego wnioskować, że nie zaraziła ich nienawiść, teza o dyktaturze proletariatu, totalizm, że socjalizm demokratyczny wybronił się od komunizmu, ale że oderwanie się od konkretów filozofii teologicznej przyniosło w skutkach indyferentyzm i laicyzm, naiwne echa ateistycznego materializmu?

◆

Po drugiej wojnie światowej socjalizm „demokratyczny" na Zachodzie stawał pod coraz silniejszym naciskiem problematyki religijnej. Odstraszający przykład „konsekwentnych marksistów" spod znaku sierpa i młota, konkurencja renesansu nowoczesnego katolicyzmu społecznego, nawrócenia indywidualne — zatrzęsły indyferentyzmem, a polityczny oportunizm kazał zdawać sobie sprawę, że nieprzyjaciele naszych nieprzyjaciół mogą być sprzymierzeńcami w chwili zagrożenia.

Jak informował londyński „Robotnik", I kongres powojenny „międzynarodówki socjalistycznej" we Frankfurcie nad Menem uchwalił 2. 7. 1951 deklarację pt. „Cele i zasady socjalizmu demokratycznego", gdzie znalazła się formuła o „równouprawnieniu" socjalistów „wywodzących swe przekonania z wyników marksistowskiej czy innej (?) analizy społecznej z socjalistami (?), wywodzącymi swe przekonania z zasad religijnych lub humanistycznych..." W świetle tej wielkodusznej formuły wszyscy właściwie jesteśmy socjalistami; wszyscy, albo... nikt na Zachodzie. W swojej niekonkretności formuła wskazuje na trudności pogodzenia sprzecznych doktrynalnych założeń, gdy intencje reformatorów socjalistycznych i chrześcijańskich były i są zbieżne, gdyż zaniedbania i krzywdy były i niejednokrotnie są jeszcze rzeczywistością społeczną. Fermenty pozytywne i fermenty negatywne toczą walkę: „potrzeba Boga" z antyreligijnymi natchnieniami materializmu; wolność z tendencjami totalitarnymi; urazy historyczne z nową rzeczywistością tam, gdzie już nie ma ani proletariatu ani klas ... Życie niesie przemiany, gdy tymczasem Msza jak się odprawiała, tak się odprawia!

W marcu 1953 roku odbyła się w Bentveld w Holandii „specjalna konferencja międzynarodówki socjalistycznej w sprawie stosunku socjalizmu i religii". Organizatorzy podkreślali z naciskiem, że to „pierwszy raz w historii międzynarodówki" dyskutuje się oficjalnie te zagadnienia. Silny jest widocznie napór „duchowej" rzeczywistości; złośliwi „deiści" mogliby powiedzieć: przyszła koza do woza...

Ciekawe bardzo są akta tej konferencji, wybuchy i sprzeczności w dyskusjach, nieśmiałe propozycje uchwał, niedomówienia, a zwłaszcza swoiste „ustawienie", gdzie zaciera się precedencja chronologiczna systemów, o których stosunku wzajemnym jest mowa.

W zakończeniu obrad Julius Braunthal, sekretarz międzynarodówki, wniósł projekt deklaracji o stosunku socjalizmu do religii, której p. 4 głosi, iż: „Socjalizm... uznaje, że, zwłaszcza w Europie, chrześcijańska Ewangelia jest jednym ze źródeł (?) duchowych i etycznych socjalistycznej myśli...". Deklaracja zastrzega się, że socjalizm jest ruchem politycznym a nie wyznaniowym, „rozgrzesza" jednak socjalistów-chrześcijan. Referent wyraził uznanie „humanizmowi i religii", które „były wśród sił filozoficznych i duchowych, zapładniających myśl socjalistyczną..."(?); stwierdził, że najdonioślejszy jest sam fakt, iż po raz pierwszy w historii międzynarodowego socjalizmu taka deklaracja została sformułowana przez konferencję zwołaną przez międzynarodową organizację socjalistyczną; stwierdził również, że nie uzgodniono w komisji redakcyjnej sprawy rozdziału Kościoła od Państwa ani sprawy wyznaniowych szkół... Deklaracja została przyjęta i przekazana partiom w poszczególnych krajach dla dalszych studiów.

Uderzające są sprzeczności w przebiegu konferencji. Referent główny dr W. Banning, profesor teologii na uniwersytecie w Leydzie, dramatycznie „nawraca" socjalizm polityczny na tory deistyczne, gdy tymczasem w dyskusji brzmią ostro głosy zastarzałych nienawiści i wychyla się cyniczny, taktyczny oportunizm. Te ostatnie głosy każą się zastanawiać, do jakiego stopnia kompromisowa i nieobowiązująca deklaracja jest podyktowana przeświadczeniem o traceniu gruntu pod nogami...

Oto fragmenty z referatu: „...Gdy socjalizm zajmuje stanowisko wrogie w stosunku do chrześcijaństwa i humanizmu, sam się odcina od swojej własnej żyznej gleby..." „...Świadoma eliminacja zagadnień etycznych z teorytycznej i propagandowej literatury socjalistycznej, pozostaje w sprzeczności z praktyką postępowania członków ruchu..." Referent ubolewa nad „zdawkowymi ogólnikami" (platitudes) Marksa (we wstępie do statutu I międzynarodówki) na temat „moralności, prawdy i sprawiedliwości"; woła o „socjalizm etyczny"; biada, że „relatywizm moralny jest naszym nieprzyjacielem", ale równocześnie zastrzega się, że należy „odrzucić teologię obiektywną"; pyta za Bernsteinem: „Czyż możliwy jest socjalizm naukowy?" Stwierdza „zmiany wewnątrz socjalizmu... odchodzenie od marksizmu... porzucanie dogmatu socjalizacji..." Stwierdza, że „chrześcijanie wykazywali nieraz większe zrozumienie dla konieczności decentralizacji odpowiedzialności, niż socjaliści, którzy często skłaniają się do centralizmu i przeoczają znaczenie decentralizacji..." Podkreśla „napięcia i nieufność, głównie w dziedzinie oświaty", gdzie istnieją tendencje do „dyryżyzmu", podczas gdy jednak programy socjalistyczne w sprawach kultury wykazują „niemal kompletną pustkę". Przypomina, że manifest frankfurcki z roku 1951 wykazuje tendencje demokratyczne, że „socjalizm nie wymaga sztywnej jednostajności podejścia", że „partie to organizacje, których zadaniem jest polityka (?), a nie propagowanie filozofii życia, że nie są one ani służbą Bożą, ani ruchem bezbożniczym...", równocześnie jednak stwierdza, iż „przekonanie, że religia jest sprawą prywatną, jest całkowicie przestarzałe z uwagi na obecne warunki i poglądy..."

W dyskusji obok troski o przemiany, wraca echo przesądów na temat religii, katolicyzmu i Kościoła: powtarzają się narzekania na „usztywnienie stanowiska Watykanu"; wyraża się wątpliwość, czy katolicy przejdą „od indywidualnej do kolektywnej akcji"(?); utrzymuje się, że „chrześcijaństwo nie ma nic wspólnego z nowoczesnym socjalizmem, z postępowymi ideałami społecznymi" (Deixonne, Francja). W sprawie szkolnictwa zaś: „Jest naszym zadaniem wychowywanie naszych dzieci na wolnych ludzi, nie na religijne zwierzęta... Chcemy okazać gotowość współpracy z chrześcijanami, ale czyż nie powinniśmy okazywać takiej samej gotowości, jeżeli chodzi o ateistów... (Echem tych uwag jak gdyby są wytyczne moskiewskie z roku 1954 w sprawach religii i ateizmu.) Jest przecież, mimo wszystko, coś ważniejsze od religii, a mianowicie wolność wybrania lub odrzucenia religii..." (Deixonne, Francja). Znajdujemy akcent taktycznego oportunizmu: „Możemy przemawiać do katolickich mas ponad głowami ich przywódców, w języku, który im się spodoba..." (Laroch, Belgia). „Co nas interesuje, mówiąc praktycznie, to metody, przy pomocy których możemy nawiązać kontakt z katolickimi masami..." (Deixonne, Francja). „Jeżeli tylko moglibyśmy osiągnąć poparcie katolickich mas, chłopów, gospodyń (housewives), to wtedy moglibyśmy się łatwiej uporać z biskupami..." (Mergebauer, Austria).

Polaków nie było w Bentveld. Nie było tam także katolików; wystąpienia delegatki, przedstawianej jako przedstawicielki katolickiej były nacechowane podejrzaną antykatolicką zajadłością i pachniały mocno „ postępowym katolicyzmem".

◆

Tomasz Arciszewski nie miał wątpliwości co „wybrać", a co „odrzucić". Dla niego „czerwony sztandar" znaczył szczerą walkę z krzywdą społeczną i upośledzeniem gospodarczym; na czerwonym polu widział przez całe życie orła, którego nosił w sercu; odszedł z krzyżem... Osierocił rodzinę i małżonkę, prawdziwą społecznicę z Bożej łaski; osierocił dzieci polskie — „dziaduś", robotnik-dygnitarz, bojowiec-społecznik, żołnierz-opiekun sierot, Polak!

Stanisław Grocholski

APEL

W SPRAWIE ZIEM ODZYSKANYCH

Związek Polskich Ziem Zachodnich w Wielkiej Brytanii i poza Wielką Brytanią ogłosił apel w sprawie Ziem Odzyskanych, w którym czytamy między innymi:

„Gdy Kraj walczy z panowaniem Sowietów w Polsce, obowiązek obrony naszych Ziem Odzyskanych przed nowymi zakusami niemieckimi spada przede wszystkim na emigrację polską na Zachodzie. Jest to obowiązek, od którego nikomu nie wolno się uchylić, gdyż od utrzymania Ziem Odzyskanych zależy przyszłość Polski, jej niepodległy byt i pozycja w rodzinie narodów oraz lepsze i szczęśliwsze jutro następnych pokoleń.

Spełnienia tego obowiązku oczekuje od nas Kraj, przed którym kiedyś będziemy musieli zdać sprawę z naszej działalności w obronie tych ziem. Musi to być akcja planowa i systematyczna, zarówno na odcinku politycznym jak i informacyjnym w celu odpowiedniego oddziaływania na opinię Zachodu.

Związek Polskich Ziem Zachodnich czuje się szczególnie zobowiązany do prowadzenia tej akcji na odcinku informacyjnym. Możliwość jej realizacji widzi Związek przede wszystkim w rozwinięciu stosownej działalności wydawniczo-publicystycznej. W tym celu obok „Przeglądu Zachodniego", który od szeregu lat zdecydowanie przeciwstawia się rewizjonizmowi niemieckiemu, Związek Polskich Ziem Zachodnich wespół z Ośrodkiem Badań Spraw Polski Zachodniej, powołanym z jego inicjatywy, przystępuje do wydawania kwartalnika w języku angielskim, by wypełnić istniejącą na tym odcinku lukę.

Tak pomyślana akcja wymaga jednak wspólnego wysiłku zarówno organizacyjnego jak i finansowego.

Obrona Ziem Odzyskanych — tak samo jak obrona naszych praw do całości terytoriów Rzeczypospolitej w granicach sprzed września 1939 — jest prawem i obowiązkiem wszystkich Polaków, bez względu na miejsce urodzenia i zamieszkania. W tej walce wszyscy muszą pomóc, gdyż tylko wtedy akcja nasza może mieć powodzenie.

Zwracamy się przeto z gorącym apelem do wszystkich Polaków o poparcie i współpracę przez

— Zapisywanie się na członków Związku Ziem Zachodnich,

— Zaabonowanie „Przeglądu Zachodniego",

— Składanie ofiar na „Fundusz Prasowy".

Ufamy, że apel ten spotka się ze zrozumieniem i przyniesie wyniki, które umożliwią nam kontynuowanie naszej akcji w obronie Ziem Odzyskanych."

◆

„Przegląd Zachodni" ukazuje się regularnie co miesiąc około 15. każdego miesiąca. Cena pojedyńczego numeru 1 szyl. Prenumerata roczna wynosi 12 szyl. (2 dol. w USA). Na terenie Londynu „Przegląd Zachodni" do nabycia w kioskach u Kombatantów i w Ognisku Polskim.

Pierwszy numer kwartalnika w języku angielskim, pod tytułem „Poland and Germany, A Quarterly Revue" pojawi się w kwietniu 1956 roku. Warunki prenumeraty podane będą w terminie późniejszym.

Dary na „Fundusz Prasowy", pisma w sprawie prenumeraty „Przeglądu Zachodniego" i kwartalnika, oraz wszelką korespondencję prosimy kierować pod adresem: Polish Western Association, 20 Princes Gate, London, S. W. 7. W krajach, w których istnieją Oddziały Związku Polskich Ziem Zachodnich lub samodzielne Związki Ziem Zachodnich korespondencję prosimy kierować na niżej podane adresy tych Oddziałów lub Związków:

Polish Western Club in Toronto, 303 1/2, Crawford St., Toronto, Ont., Canada.

Polish Western Club in Montreal, 3611, St. Dominique, Montreal, Que., Canada.

Polish Western Association, Cambridge Branch, 7 Perowne St., Cambridge.

Polish Western Association, Delegate for Sweden, Sandgatan 12, Lund, Sweden.

Polish Western Association of America, 1351 N. Paulina Street, Chicago 22, Ill., USA.

Wieczór grupy „RYTM"

Związek Pisarzy na Obczyźnie urządza 27 kwietnia, w piątek, o godz. 7.30, w Intytucie im. gen. W. Sikorskiego wieczór grupy literackiej „Rytm".

Udział biorą: Marian Czuchnowski, Jerzy Faczyński, Janusz Jasieńczyk, Stanisław Kalinowski, Zygmunt Kotkowski, Stefan Legeżyński, Zygmunt Nowak, Wiesław Strzałkowski, Zygmunt Turkiewicz, Jerzy Woszczynin, Józef Żywina. Słowo wstępne — Tymon Terlecki.

Czytają członkowie grupy „Pro Arte": Hanka Otwinowska, Irena Różycka, Zbigniew Miłoszewski, Stanisław Nowodworski.

NOWE KSIĄŻKI

KSIĄŻKA O LWOWIE

Kiedy brałem książkę „Różyczki" Bailly o Lwowie (Rosa Bailly: „A City Fights for Freedom", translated from French by Samuel S. B. Taylor, London, Publishing Committee Leopolis, 1956, str. 396, rys. 111, planów i map 19) zapachniało mi wiosną, odległą, zamierzchłą, a jednak niezapomnianą wiosną.

Co prawda, była to jesień, późna polska jesień, zimna i deszczowa, jesień szarego nieba i przenikliwych wiatrów. A jednak w sercach panowała wiosna uśmiechnięta, pełna wiary i nadziei, wiosna zmartwychwstała po czarnej nocy pozornej beznadziejności. Oto opadały okowy stuletniej niewoli i Polska budziła się do nowego życia. I choć ciężką nam przychodziło stoczyć walkę w obronie ukochanego miasta, świadomi byliśmy, że za nami stoi odradzający się naród. Byle tylko kilka dni jeszcze przetrzymać w walce z przemocą, a nadejdzie odsiecz, zwycięstwo musi być nasze — myśleliśmy — a po nim, długa może, żmudna, pracowita, ale upragniona przyszłość w wolności.

Z przedziwnym uniesieniem u progu wolności, z niezłomną wiarą w słuszność sprawy i pewnością zwycięstwa walczyli młodzi i starzy, mężczyźni, kobiety, dzieci, duchowi rodzice następnego pokolenia powstańców warszawskich, pokolenia, które jeszcze przewyższyć miało obrońców Lwowa mocą ducha i bohaterstwem.

W obronie umiłowanego grodu zapomnieliśmy o sporach, o orientacjach, o różnicach przekonań. Ledwie jednak umilkł szczęk broni, dawne waśnie odżyły. Spory o to, kto więcej dokonał, komu przypisać ten, czy ów epizod, komu gęstszym laurem przykryć skroń. Nigdzie chyba więcej żółci nie przelano na papier, niż we wspomnieniach o obronie Lwowa. I dziś jeszcze nawet, choć tyle minęło czasu, choć tyle nieszczęść powinno było zatrzeć stare urazy, drzazga nadal tkwi w sercu. Gdy czytałem książkę Rosy Bailly, nieraz aż mnie podrzucało: „nie, nie tak; nie, nie on". Stary gniew żółcią znów chciał zabarwić pióro. Ale powoli refleksja uspokoiła namiętność. Czy naprawdę to ważne, kto czynu dokonał? Ważny jest czyn, ważna jest sława, jaką on opromienił rodzinne miasto, sława i wierność, jaka na każdej niemal stronie bije z tej książki. Czyż obcemu czytelnikowi, dla którego książka ta jest przeznaczona, takie, czy inne nazwisko, coś powie? Ważny dla niego jest tylko klimat duchowy namiętnej miłości rodzinnego grodu, bohaterstwa, poświęcenia, wytrwałości i wiary w słuszność sprawy, ważna jest świadomość duchowej przynależności do Polski tego miasta „Semper Fidelis".

A ponadto. Przez długie lata po zakończeniu obrony Lwowa każdy z nas pisał własne wspomnienia i refleksje. Jedni starali się podnosić chwałę swoich dokonań, inni myśleli raczej o współtowarzyszach broni, kolegach, dowódcach, tych zwłaszcza, ktorzy wtedy już nie żyli. Jedni pisali z nie dającą się zamaskować namiętnością, inni silili się na taką obiektywność, na jaką ich tylko było stać. Każdy przedstawiał rzeczywistość tak, jak on ją widział. Zebrano i wydano drukiem moc dokumentów. Wszystko to z myślą o przyszłym historyku, który z tych jakże nieraz sprzecznych materiałów zbuduje jednolity obraz.

Obraz taki daje obecnie Rosa Bailly. Materiały, jakimi rozporządzała, są aż nadspodziewanie obfite. Brak jej było co prawda najważniejszego, trzeciego tomu materiałów, wydanych przez Towarzystwo Badania Historii Obrony Lwowa, tomu, którego jednak niestety nie ma nigdzie w dostępnych na emigracji źródłach; brak może niektórych ciekawych publikacji, jak np. najbardziej bezpośrednio po walkach wydanego „Ruskiego Miesiąca" (o ile pamiętam) Gelli. Są to jednak braki w obecnych warunkach nieuniknione. Trudno więc jej z tego czynić zarzut, raczej podziwiać należy jej skrupulatność i cierpliwość w poszukiwaniu źródeł i wielką pracowitość i sumienność przy korzystaniu z nich. Jeśli więc tu i ówdzie, ten czy tamten opis, wygląda inaczej w jej ocenie, niż to widział ten czy ów uczestnik, to jest to dobre prawo każdego historyka, aby ze sprzecznych źródeł wyciągnąć taki wniosek, jaki jemu wydaje się najprawdopodobniejszy.

A Rosa Bailly czyni to nie tylko z gruntownym znawstwem, ale i kochającym sercem. Nie pomijając plam, stara się zawsze, nawet tam, gdzie były błędy, pod ułomnościami ludzkimi znaleźć głębokie motywy prawdziwej miłości sprawy, które w owym czasie ożywiały każdego obrońcę Lwowa. Toteż obraz, jaki przedstawia, to nie tylko drobiazgowy i gruntowny opis faktów, ale — co najważniejsze — wierne oddanie tego klimatu duchowego, jaki ożywiał owe trzy tygodnie lwowskich bojów. I ta głęboka intuicja miłości czyni z jej książki nie tylko interesującą lekturę dla czytelnika, dla którego jest przeznaczona, ale i wartościowe źródło, opromienione wewnętrzną prawdą.

Książka kończy się opisem Cmentarza Obrońców Lwowa. Tu przeszłość wskazuje na teraźniejszość. Dzisiaj ręka barbarzyńcy cmentarz ten zaorała i poniewierane gdzieś walają się po świecie kości obrońców Lwowa, a w tym i kości najdroższe sercu memu. Dziś ponoć już milionowe miasto Lwów rozbrzmiewa obcym mu językiem rosyjskim. Garść tam tylko została Polaków, Ukraińców nie ma śladu, a niewielu ich też zostało na ziemi czerwieńskiej. Wspólne uderzyło w nas nieszczęście i wspólna tu dola złagodzić by powinna dawny spór i uświadomić zwaśnionych braci, że nie w walce wzajemnej, ale w braterskiej miłości szukać należy rozwiązania. Bo tam, gdzie miejsce najbardziej nawet uzasadnionych wzajemnych żalów przeszłości zajmie miłość chrześcijańska, tam na pewno odnajdzie się droga do sprawiedliwych rozwiązań, zalążek zgody tak koniecznej dla obu zwaśnionych narodów.

Dr Tadeusz Felsztyn

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

Biskup Fulton J. Sheen SURSUM CORDA. Tom VII serii niebieskiej „Biblioteki Polskiej". Z angielskiego przełożył Wiesław Pisarczyk. Nakładem Kat. Ośrodka Wydawniczego „Veritas". Londyn 1956. Stron 320.

Jan Barański MON PAYS PERDU (1939-1951). Préface de Monseigneur van Waeyenbergh, Recteur de l'Université de Louvain, Evêque auxiliaire de Malines. A Paris, Les Iles d'Or, 1956.

Zbigniew M. Fallenbuchl ZAGADNIENIA GOSPODARCZE ZIEM ODZYSKANYCH. Wydawnictwo Zarządu Głównego Związku Karpatczyków (3 D.S.K.). Londyn 1956. Stron 40, mapka.

Stefan Korboński W IMIENIU KREMLA. Biblioteka „Kultury" tom XIII. Instytut Literacki, Paryż 1956. Stron 384.

Jan Ciepliński SZKIC DZIEJÓW BALETU POLSKIEGO. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wyd. „Veritas", Londyn (1956). Stron 92+4 nl. 24 ilustracje. Okładka kartonowa, dwubarwna, ilustr.

Maria L. Danilewicz POLISH STUDIES. Reprinted from the Year's Work in Modern Language Studies, volume XVI, 1954. Strony 403 - 424. (Bibliografia wydawnictw polonistycznych za rok 1954).

Olga Scherer-Virski, Yale University THE MODERN POLISH SHORT STORY. Slavistische Drukken en Herdrukken uitgegeven door C. H. van Schooneveld Hoogleraar te Leiden V. Mouton & Co. 'S-Gravenhage 1955. Stron 266, okładka płócienna.

Wiktor Weintraub, Harvard University THE POETRY OF ADAM MICKIEWICZ. Slavistic Printings and Reprintings, edited by Cornelis H. van Schooneveld, Leiden University, Mouton & Co. 'S-Gravenhage 1954. Stron 302, okładka płócienna.

Marian Hemar SIEDEM LAT CHUDYCH. Pamiętnik satyryczny. Roy Publishers, New York 1955. Printed in Italy. Stron 400.

Wacław Liwski MANA. Nowele. Z przedmową Stanisława Vincenza. Instytut Wydawniczy Korona. Buenos Aires 1955. Stron 108.

Stanisław Vincenz NA WYSOKIEJ POŁONINIE. Obrazy, dumy i gawędy z Wierchowiny huculskiej (w wyborze dokonanym przez autora). Tom XXII serii czerwonej „Biblioteki Polskiej". Nakładem Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas", Londyn 1956. Stron 300. Okładka płócienna, obwoluta proj. S. Barana.

J. i H. Dąbrowscy CO SIĘ DAWNIEJ W POLSCE DZIAŁO. Nakładem Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas" przy współdziałaniu z Polską Macierzą Szkolną Zagranicą. Londyn (1956). Wydanie albumowe. Stron 64+ okładka. 62 ilustracje.

Zofia Kozarynowa KRÓL POEZJI. Opowieść o Panu Adamie. Ilustrował Jan Smagała. Biblioteczka Młodzieży. Nakładem Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas". Londyn (1956). Stron 32. Okładka wielobarwna ilustr.

BIBLIOTEKI POLSKIE KOMITETU OŚWIATOWO BIBLIOTECZNEGO PRZY POLISH RESEARCH CENTRE. Londyn 1956. Stron 16.

MAGNIFICAT. A Centennial Record of the Congregation of the Sisters of Saint Felix (The Felician Sisters). November 1855-1955. Buffalo 1955. Wydanie albumowe, litografia, liczne ilustracje, druk dwubarwny, twarda okładka ze złoceniami. Stron 156.

SZKOLNICTWO WYŻSZE I NAUKA POLSKA NA OBCZYŹNIE. Wydawnictwo Funduszu Oświaty Polskiej Zagranicą. Londyn 1956. Stron 16.

XV LAT PRACY KLUBU POLSKIEGO W BUENOS AIRES. 12.XI.1940 - 12.XI.1955. Życzenia, wspomnienia, wypowiedzi. Stron 108 na powielaczu.

KALENDARZ „LUDU" NA ROK 1956. Suplemento do Jornal „Lud", Curitiba, Parana. Stron 168. Ilustracje w tekście, okładka dwubarwna.

MARIANUM W SŁUŻBIE. Organ Instytutu Najświętszej Maryi Panny Zwycięskiej. Zeszyt 1, marzec-kwiecień 1956. Na prawach rękopisu. Na powielaczu. Stron 16. Adres Sekretariatu Generalnego: Penrhos Home, nr. Pwllheli, North Wales.

STER. Jednodniówka wydana przez Zjednoczenie b. Marynarzy Polskiej Marynarki Handlowej w Ameryce. Redakcja: Piotr Kubicki, New York, styczeń 1956. Stron 24, dwubarwna okładka.

MIT KULTURY SOWIECKIEJ

Tygodnik „The Listener" ogłosił interesującą prelekcję radiową Iwana Bilibina o „micie kultury sowieckiej". W prelekcji tej Bilibin obala propagandową tezę, jakoby istniała czy rodziła się kultura „sowiecka", to jest kultura będąca wyrazem nie tylko Rosjan, ale i innych narodowości Związku Sowieckiego i posiadająca jakieś cechy „proletariackie". Jeśli z początku były pozory przemian w tym kierunku, to obecnie sytuacja jest jasna — owa kultura „sowiecka" jest po prostu kulturą rosyjską, i w dodatku z nawrotem do jej „klasycznych" źródeł i wzorów. Bilibin ilustruje to przede wszystkim przykładami z dziedziny językowej.

W programach radia moskiewskiego znajdujemy często takie zestawienie: godz. 10.30: muzyka orkiestrowa kompozytorów rosyjskich, godz. 11.30: pieśni kompozytorów sowieckich. Wyjaśnienie jest proste: linią podziałową rzeczy rosyjskich i rzeczy sowieckich jest rok 1917. Utwór muzyczny, skomponowany przez Rosjan w Moskwie w roku 1916, albo przez tego samego Rosjanina na wygnaniu w Paryżu w roku 1925, określony będzie w podręczniku sowieckim jako dzieło kompozytora rosyjskiego, ale kompozycja innego Rosjanina, który nie wyemigrował za granicę i napisał swój utwór w Moskwie w roku 1925, opisana będzie jako dzieło kompozytora sowieckiego. Jeśli z drugiej strony kompozytor, który osiadł w Paryżu, powrócił później do Rosji, podręczniki sowieckie ulegną na tym punkcie rewizji i kompozytor ten nie nazywany już będzie „kompozytorem rosyjskim", lecz „kompozytorem sowieckim".

Zdawałoby się, że rozróżnienie to jest jasne i proste, ale czy „wzorowy" obywatel sowiecki mógłby uznać je za wystarczające? Ostatecznie nasłuchał się on tyle o „człowieku sowieckim", „realizmie sowieckim", „moralności sowieckiej" i „kulturze sowieckiej", że doprawdy byłoby strąceniem go z tych „wyżyn" stwierdzać, że określenie „sowiecki" jest tylko wygodniejszą definicją geograficzną oznaczającą narody byłego Imperium Rosyjskiego w ich dzisiejszym układzie.

Jeśli jednak próbujemy dojść do tego, co ów termin „sowiecki" oznacza, okazuje się, że treść jego jest bardzo mało uchwytna. Inteligentni, lecz mało poinformowani cudzoziemcy mogą wypowiadać w tym zakresie przypuszczenia zupełnie mylne. Mogą sobie oni wyobrażać np., że kultura sowiecka jest kulturą wyemancypowanego proletariatu, który znalazł nowe formy ekspresji, kulturą wypełnioną duchem obrazoburstwa, zrywającą z przeszłością. Ale to są rysy „proletkultu" — „kultury proletariackiej", ruchu literackiego i artystycznego, który nosił tę nazwę i zajmował wybitne miejsce we wczesnym okresie reżymu sowieckiego. Ruch ten później uległ „zdezawuowaniu" — i obecnie określenie „proletkult" używane jest raczej snobistycznie w sensie pejoratywnym, określającym postawę, jakiej można się spodziewać od przedstawicieli „kultury proletariackiej". W listopadzie ub. roku moskiewska „Literaturnaja Gazieta" ogłosiła artykuł dwóch wykładowców uniwersytetu moskiewskiego, nawołujący do ponownego zainteresowania się klasykami starożytnymi i do studiowania greki i łaciny. Autorzy stwierdzali, że nauki humanistyczne muszą poradzić sobie z obiekcjami ze strony „nihilistów proletkultu i szkołą historyczną Pokrowskiego".

O ile „proletkult" reprezentował obrazoburstwo w literaturze i sztuce, to o Pokrowskim można powiedzieć, że był obrazoburcą w historii. Przeszłość traktował on jako wielki płat nieprzyjacielskiego obszaru, na którym tu i ówdzie były punkty i operacje „alianckie", takie jak Spartakus, rebelia Stieńki Razina, chartyści angielscy. Pokrowski pozostał w łaskach długi jeszcze czas po zmierzchu „proletkultu" i historia jego zarzucona została dopiero w obliczu groźby wojny, kiedy podjęto rehabilitację dawnych bohaterów rosyjskich.

W krytyce literackiej modne są obecnie nawoływania do szukania natchnienia u dawnych klasyków rosyjskich. Tylko tą drogą — argumentuje się — dojść będzie można do odzwierciadlania dzisiejszej, porewolucyjnej teraźniejszości rosyjskiej. Dotychczasowe drogi portretowania jej zawiodły. W dziedzinie krytyki artystycznej atmosfera jest różna; tu — w przeciwieństwie do literatury — panuje zadowolenie z osiągnięć, ze stworzenia szkoły „realizmu socjalistycznego". Ale, po prawdzie mówiąc, ów „realizm socjalistyczny" zupełnie prawie nie różni się od realizmu dawnej rosyjskiej szkoły malarskiej z przełomu XIX i XX wieku, z tym, że „realizm socjalistyczny" cierpi na jałowość, właściwą wszelkiej imitacji.

Szczególne światło na problem „kultury sowieckiej" rzuca studium rozwoju języka rosyjskiego w ciągu ostatnich lat czterdziestu. Zdawałoby się, że dojście „proletariatu" do władzy powinno dać w wyniku „sproletaryzowanie" języka i zastąpienie językiem szerokich warstw mowy dawnych klas wyższych. Jednym z pierwszych aktów rządu rosyjskiego była reforma pisowni, w rzeczywistości jednak nie miała ona nic wspólnego z rewolucją komunistyczną. System pisowni, używanej obecnie, zaprojektowany został przez Cesarską Akademię Nauk w pierwszym dziesięcioleciu bieżącego stulecia i doczekałby się aprobaty cara, gdyby tymczasem nie wybuchła rewolucja. Zmiany w dawnej pisowni są nieduże, podyktowane bądź względami konsekwencji, bądź symplifikacji — podobne reformy przeprowadzano w ciągu ostatniego półwiecza w większości języków europejskich.

Reforma pisowni rosyjskiej nie miała z pewnością żadnego wpływu na gramatykę, ani na słownictwo języka. Czy może jednak moment „sowieckości" objawił się w zapożyczeniach do języka rosyjskiego z innych języków Związku Sowieckiego? Odpowiedź na to brzmi: w języku rosyjskim nie ma żadnych zapożyczeń z innych języków, natomiast w owych innych językach jest mnóstwo zapożyczeń z języka rosyjskiego.

Jeśli chodzi o „proletaryzację" języka, to sowieccy pisarze i krytycy literaccy lubią pisać o rzekomych wielkich zmianach, przyniesionych przez rewolucję. Mówi o nich np. Fedor Gładkow w artykule pt. „O kulturze mowy", twierdząc, że dzięki nowym stosunkom społecznym, nowym myślom i bujnemu rozkwitowi sił produkcyjnych język potoczny sowieckich Rosjan nabrał specjalnego stylu. Można by się spodziewać, że Gładkow da jakieś przykłady tego po-październikowego wysławiania się. Gdzież tam! Jeśli cytuje on jakieś nowe wyrażenie, które weszło do mowy potocznej, albo odmienną od dawnej wymowę, to potępia je, a nie poleca — potępia nie z powodów rzeczowych, ale z powodu różnicy w stosunku do przyjętych od dawna form. Podobnie jak krytycy literaccy, Gładkow szuka natchnienia u dawnych klasyków rosyjskich. Oczywiście w języku rosyjskim pojawiło się w ciągu ostatnich czterech dziesiątków lat wiele nowych słów i wyrażeń, ale to samo zaszło np. z językiem angielskim.

Bilibin przytacza jedną z zeszłorocznych audycji radia moskiewskiego, nawołującą młodych słuchaczy do wystrzegania się złej wymowy różnych słów. Jednym z nich jest słowo „wybory" (oznaczające to samo, co w języku polskim); otóż radio poucza słuchaczy, by wymawiali to słowo z akcentem na pierwszej sylabie, a nie używali formy „wyborá" z akcentem na ostatniej. Warto zaznaczyć, że jeszcze do niedawna właśnie „proletariacka" forma „wyborá" używana była w audycjach przedwyborczych; nawet Mołotow używał tej formy. Obecnie propagowany jest powrót do dawnej „poprawnej" postaci słowa.

Bilibin powtarza w zakończeniu, że jako rzecz indywidualna i oddzielna „kultura sowiecka" jest niewątpliwie mitem.

LISTY Z NIEMIEC

WALKA Z KOŚCIOŁEM W SOWIECKIEJ CZĘŚCI NIEMIEC

Na obszarze sowieckiej strefy okupacyjnej Niemiec dominuje Kościół protestancki. 82% ludności wschodnich Niemiec jest wyznania protestanckiego, a zaledwie 2,2 miliony, tj. ok. 12% wyznania rzymsko-katolickiego (w zachodnich Niemczech procent ludności katolickiej wynosi ponad 45). Z tego powodu ataki reżymu komunistycznego, jakkolwiek kierowane w równej mierze przeciwko obu wyznaniom, nabierają większego rozgłosu, jeśli chodzi o Kościół protestancki.

W dniu 10 lutego odbyła się we wschodnim Berlinie, na zaproszenie komunistycznego ministra spraw wewnętrznych Marona, konferencja z przedstawicielami Kościoła ewangelickiego w Niemczech, w której wzięli udział: przedstawiciel zarządu diecezjalnego brandenburskiej prowincji kościelnej, oraz biskupi pozostałych prowincji kościelnych wschodnich Niemiec.

W ostrym oświadczeniu zarzucił Maron reprezentantom Kościoła, jakoby czołowe osobistości jego znajdowały się „pod wpływem polityki NATO" i jako instytucje kościelne nadużywane zostały dla „wrogich pokojowi planów agresywnych polityków zachodnich". Szczególnie ostre zarzuty zostały skierowane przeciwko zarządowi prowincji brandenburskiej (tj. biskupowi Dibeliusowi), którego siedziba znajduje się w zachodnim Berlinie. Maron wezwał zebranych przedstawicieli Kościoła do ścisłego przestrzegania ustawy dotyczącej „zabezpieczenia pokoju" i zagroził ostrymi konsekwencjami w wypadku niezastosowania się Kościoła do żądań komunistycznego rządu.

Uzupełniająco nadmienić należy, że konferencja ta odbyła się bezpośrednio po zatargu, jaki powstał na przestrzeni ostatnich tygodni w związku z zaaresztowaniem, pod zarzutem rzekomego szpiegostwa, licznych współpracowników ewangelickich misji dworcowych, co w praktyce uniemożliwiło dalszą działalność tej powszechnie znanej i popularnej w Niemczech instytucji kościelno - charytatywnej.

Zarzuty, wypowiedziane przez Marona i poparte niezwykle ostrą kampanią prasową, mają — według powszechnie w zachodnim Berlinie panującej opinii — na celu utrudnienie lub zgoła uniemożliwienie wykonywania zarządu Kościoła przez kierownictwo, mające swoją siedzibę w zachodniej części miasta. Kościół, zarówno katolicki jak i ewangelicki, są jedynymi obecnie instytucjami niemieckimi działającymi pod zarządem ośrodków dyspozycyjnych, kompetentnych dla obu części Niemiec. Akcja Marona zmierza najoczywiściej do tego, by dotychczasową „jedność" Kościoła ewangelickiego podważyć i na tym również odcinku doprowadzić do rozdwojenia. Kościół wschodnich Niemiec, uniezależniony od zarządu kościelnego Zachodu, stanowić będzie — zdaniem rządu komunistycznego — obiekt bardziej podatny do ustępstw i kompromisów, aniżeli Kościół, podlegający biskupom działającym w warunkach niezależnych.

Przedstawicielem Rady Kościołów Ewangelickich w Niemczech przy rządzie wschodnio - niemieckim jest „Propst" Grüber. Działalność jego była niejednokrotnie przedmiotem krytyki ze strony zachodnich kół protestanckich z powodu jego zbyt ustępliwej postawy wobec władców komunistycznych. W związku z obecnym kryzysem kościelnym na Wschodzie pojawiły się głosy, mówiące o ustąpieniu Propsta Grübera i zastąpieniu go przez Niemöllera, prezydenta Kościoła w Hesji i dotychczasowego kierownika biura spraw zagranicznych Rady Kościołów Ewangelickich w Niemczech. Niemöller, długoletni więzień obozów koncentracyjnych hitlerowskich, posiada piękną kartę walki z reżymem nazistowskim. Powojenna jego postawa budzi jednak jak najdalej idące zastrzeżenia. Niemöller okazał się człowiekiem nader ustępliwym w stosunku do komunizmu, bywał częstym gościem w Moskwie i w jej krajach satelickich oraz jest czołową osobistością wśród zachodnio-niemieckich neutralistów. Powołanie go na stanowisko pełnomocnika przy rządzie sowiecko-niemieckim oznaczałoby wyraźną kapitulację Kościoła wobec żądań władców wschodnio-berlińskich. Usiłowania podporządkowania Kościoła władzy komunistycznej natrafiłyby — w wypadku powołania Niemöllera — na grunt nader podatny.

TRAKTAT HANDLOWY POLSKO-NIEMIECKI

W ciągu ostatniego roku zacieśniły się stosunki handlowe pomiędzy Polską a Niemiecką Republiką Federalną. W lutym ubiegłego roku podpisana została w Warszawie umowa handlowa na okres 18 miesięcy (do 30 czerwca bież. roku), przewidująca wymianę towarów na sumę około 35 milionów dolarów. W lipcu uzupełniono tę umowę dodatkowym porozumieniem na dalszych 5 milionów. W grudniu podpisano dalsze uzupełniające porozumienie na okres od 1 stycznia 1956 do końca czerwca 1957 na 22 miliony dolarów.

Pierwsza umowa (z lutego 1955 r.) przewidywała czteroletni kredyt w wysokości 10 milionów dolarów dla Polski. Otwarcie kredytu tego uwarunkowane było umożliwieniem powrotu do Niemiec obywateli niemieckich zamieszkujących w Polsce. W tej sprawie odbyły się w jesieni ub. roku rozmowy pomiędzy przedstawicielami Polskiego i Niemieckiego Czerwonego Krzyża, zakończone odpowiednim protokółem, przewidującym wyjazd tych obywateli w liczbie około tysiąca miesięcznie. Od stycznia bież. roku wracają Niemcy (przeważnie ludzie starzy) w transportach tygodniowych, liczących 200 — 250 osób. Pomiędzy wypuszczeniem obywateli niemieckich z Polski a kredytem dziesięciomilionowym istniało ścisłe iunctim. Dopiero teraz przybyli do Niemiec polscy eksperci w celu zakupu maszyn i urządzeń technicznych płatnych z kredytu niemieckiego. Dostawy te obejmują m. in. wyposażenia maszynowe i techniczne dla stoczni i statków (1 milion), walcowni i kopalń (1,2 miliona), urządzenia i maszyny elektrotechniczne (2 miliony) i motory oraz lokomotywy dieselowskie (0,5 miliona).

Obowiązujące obecnie umowy różnią się zasadniczo od przedwojennych polsko-niemieckich traktatów handlowych. Dawne traktaty przewidywały eksport z Polski w postaci przede wszystkim produktów rolnych w zamian za maszyny, urządzenia techniczne i produkty chemiczne z Niemiec. Znaczna część obecnych dostaw polskich do Niemiec obejmuje węgiel i stal. Dodatkowa umowa z lipca 1955 przewiduje wyłącznie dostawę węgla kamiennego. Umowa z grudnia 1955 obejmuje m. in. eksport węgla polskiego w wysokości 5,5 mil., stali w wysokości 5 mil., drzewa w wysokości 5 mil. ton. Z produktów rolnych dostarcza Polska jedynie świnie, jaja i drób. Niemieckie dostawy do Polski obejmują natomiast m. in. zboże i żyto oraz mąkę. Fakt ten świadczy wymownie o niedomaganiu polskiego rolnictwa a zarazem o wydajności rolnictwa zachodnio-niemieckiego, o którym w pierwszych latach powojennych twierdzono, że — wobec utraty dawnych prowincji wschodnich — nie będzie w stanie wyżywić gęsto zaludnionego obszaru republiki bońskiej.

Wykonanie zobowiązań polskich następuje zgodnie z warunkami, przewidzianymi w umowach. Węgiel polski, dostarczany do Niemiec, w szczególności do Niemiec południowych, jest drogi, mimo to i mimo gorszej jakości kalkuluje się taniej aniżeli importowany węgiel amerykański.

Delegacja niemiecka z radcą delegacyjnym dr. von Lupinem na czele, która bawiła w Polsce w celu zawarcia umowy, zwiedzała szereg miast i ośrodków przemysłowych i wyraża się z uznaniem o odbudowie Kraju i jego uprzemysłowieniu. Szczególnie duże wrażenie wywarła na Niemcach odbudowa starej Warszawy i starego Gdańska.

KONGRES PISARZY NIEMIECKICH W SOWIECKIM BERLINIE

Kilka tygodni temu odbył się we wschodnim Berlinie Kongres Pisarzy Niemieckich, na który zaproszono między innymi niektórych niekomunistycznych pisarzy z Niemiec zachodnich. Kilku z nich przybyło do stolicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Pięciokrotnie wyznaczano już poprzednio termin kongresu i za każdym razem wyznaczony termin znów odraczano. Partia miała trudności w ustaleniu linii ideologicznej zjazdu, mającego odegrać rolę czynnika utrwalającego fundamenty marksistowsko-leninowskiego myślenia politycznego. W tygodniach poprzedzających kongres dyskutowano na łamach czołowego organu komunistycznego „Neues Deutschland" tezy programowe, które dadzą się streścić w następujących punktach:

1. prawo partii do narzucania linii ideologicznej twórczości pisarskiej i kontrola nad tą twórczością;
2. wychowanie pisarzy w tym duchu, by współdziałać mogli „w zwycięskim stoczeniu — przy pomocy sztuki — walki ideologicznej w takim stopniu, by przeciwnik został pokonany".

Tezy te nie spotkały się bynajmniej z aprobatą zebranych pisarzy. Nie tylko nie-marksiści oponowali przeciwko ograniczaniu swobód pisarskich do ram zakreślonych. Spośród znanych na wschodzie Niemiec pisarzy komunistycznych nie brakło także takich, którzy — wprawdzie w słowach oględnych i różnorodnie wykładanych — krytykowali ideologiczne zacieśnianie twórczości. Anna Seghers wyrażała się z widocznym lekceważeniem o „ideologicznych bredniach" (ideologisches Gerede) i podkreślała, że każdy pisarz tylko wówczas stworzyć może dzieło sztuki, jeśli kocha temat i tło przedmiotu powieści. Sama wiara w słuszność wyznawanej idei nie jest gwarantem mistrzowskiego władania rzemiosłem pisarskim. Przeciwko kacykowemu pouczaniu pisarzy przez tępych funkcjonariuszy partyjnych zaprotestował energicznie stary weteran komunistyczny, były partyzant hiszpański, Willi Bredel. Wystąpienie jego wywołało burzę oklasków i było największą sensacją całego kongresu.

Najlepszym jednak zaprzeczeniem oficjalnych tez, wygłaszanych w dziedzinie pisarstwa przez partię, był krytyczny przegląd dotychczasowej twórczości literackiej pisarskiego aktywu komunistycznego wschodnich Niemiec. Dziesięcioletni dorobek pisarski i wydawniczy strefy sowieckiej Niemiec przedstawia się niesłychanie ubogo i jedynymi ważkimi pozycjami tego bilansu są wydawnictwa znanych utworów klasycznych, pisanych w czasach, kiedy nikomu jeszcze nie śniło się nawet o walce ideologicznej. Ten przegląd krytyczny minionego dziesięciolecia, zaprezentowany na kongresie, stanowi bodaj że jego największy dorobek. Stwierdza bowiem, że w ustroju komunistycznej niewoli prawdziwe talenty rozwijać się nie mogą.

S. C.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 22 kwietnia 1956.

UROCZYSTOŚCI PAPIESKIE



Ambasador R. P. składa Ojcu św. życzenia w imieniu narodu polskiego — w czasie uroczystej audiencji korpusu dyplomatycznego, związanej z uroczystościami uczczenia Papieża.

W roku bieżącym przypadło 80-lecie urodzin Ojca Świętego Piusa XII i 17-lecie jego pontyfikatu.

Cały świat, z wyjątkiem krajów znajdujących się pod władzą komunizmu, dał wyraz czci oraz najgłębszego poważania osobie Dostojnego Jubilata.

Ponieważ obie rocznice przypadły w marcu, niedziela 11 marca została wyznaczona jako główny dzień obchodu. Na ten dzień więc przybyły do Rzymu oficjalne delegacje tych państw, które bez względu na wyznanie swych obywateli pragnęły w ten sposób zamanifestować swoją cześć dla Papieża. Oto ich lista: Argentyna, Austria, Belgia, Boliwia, Brazylia, Chile, Chiny, Costa Rica, Egipt, Ekwador, Etiopia, Filipiny, Finlandia, Francja, Guatemala, Hiszpania, Haiti, Honduras, Indie, Indonezja, Iran, Irlandia, Japonia, Kanada, Kolumbia, Kuba, Liban, Liberia, Luksemburg, Monaco, Nicaragua, Malta, Niemcy Zachodnie, Pakistan, Panama, Paragwaj, Peru, Portugalia, Republika Dominikańska, San Marino, Syria, Stany Zjednoczone, Szwajcaria, Urugwaj, Vietnam, Wenezuela, Wielka Brytania. Polska, Litwa i Węgry były również reprezentowane przez swoich ambasadorów przy Stolicy Świętej.

Polski komitet jubileuszowy obchodu 80-ej rocznicy urodzin Ojca św. Piusa XII przygotował adres hołdowniczy, który podpisało 44.111 osób oraz dar w postaci ręcznie wykutego ryngrafu z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, dzieło znanego rzeźbiarza Marka Szwarca. Adres i ryngraf zawiózł do Rzymu piszący te słowa.

W Rzymie, obecni na uroczystościach dowiedzieli się, że Episkopat Polski przesłał depeszę z życzeniami, która sprawiła Ojcu św. szczególną radość.

Kulminacyjnym punktem obchodu była pontyfikalna Msza św. w bazylice św. Piotra, odprawiona w dniu 11 marca przez kardynała Tisseranta, dziekana św. Kolegium.

Przebieg tej uroczystości był wspaniały. Ojciec św. w otoczeniu najbliższego dworu udał się nasamprzód ze swoich apartamentów do kaplicy Najświętszego Sakramentu. Po modlitwie, przybrał tiarę i kapę i na Sedia Gestatoria wniesiony został do głównej nawy bazyliki witany entuzjastycznie przez wielotysięczne tłumy. Tu rozwinął się pochód, w którym wzięli udział — można powiedzieć — ci wszyscy, którzy pod władzą i kierunkiem Papieża dźwigają na swych barkach rządy Kościoła. Przełożeni i prokuratorzy wszystkich wielkich zakonów, spowiednik i kaznodzieja pontyfikalny, kardynałowie, dygnitarze świeccy dworu papieskiego, gwardia szwajcarska i palatyńska, wreszcie Ojciec Święty na Sedia Gestatoria, za nim dziekani i audytorzy Roty, patriarchowie, asesorowie i sekretarze św. Kongregacji rzymskich, arcybiskupi - asystenci Tronu, opaci i kanonicy rzymscy.

W głębi absydy centralnym punktem był tron papieski, na którym zasiadł Namiestnik Chrystusowy; poniżej, po obu stronach miejsca zajęli asystenci Tronu wśród nich ks. arcybiskup Gawlina, opodal kardynałowie z kapelanami siedzącymi u ich podnóża. Na tę uroczystość z różnych stron świata przybyło, poza kurialnymi, 28 kardynałów. Na trybunach, po obu bokach absydy ustawionych, zajęli miejsca przedstawiciele rodów królewskich, delegaci nadzwyczajni państw, korpus dyplomatyczny oraz przedstawiciele Akcji Katolickiej i przeróżnych korporacji i stowarzyszeń społecznych.

Każda z tych osób otrzymała pięknie wydany przez drukarnię watykańską (Tipografia Poliglotta Vaticana) tekst Mszy św. Była to Msza na rocznicę wyboru i koronacji Papieża, w której to liturgii specjalnie jest podkreślona najwyższa władza i godność Księcia Apostołów. Poprzez szerokość dwóch pierwszych stron zamieszczona została kolorowa reprodukcja kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej w Castel Gandolfo. Przed ołtarzem klęcząca postać Ojca św. zatopionego w modlitwie. Na bocznej ścianie kaplicy fresk malarza Rosena przedstawiający obronę Częstochowy. Z jakim przejęciem w tej niezapomnianej chwili obecni Polacy ujrzeli ten obraz! Trudno w tym krótkim sprawozdaniu komentować wybór tej właśnie ilustracji. Wystarczy stwierdzić, że Ojciec św. pamięta o naszym Kraju i o wszystkich prześladowanych, którzy w milczeniu prowadzą walkę o zachowanie wiary, przynależność do Kościoła, wierność dla Stolicy Piotrowej.

Po Mszy św. z balkonu bazyliki Ojciec św. udzielił błogosławieństwa Urbi et Orbi. Plac cały i plac Conciliazione pomimo niepogody i deszczu zalegały olbrzymie tłumy wiernych.

Po południu tego dnia, jak również w przeddzień, w sobotę, odbyły się uroczyste posiedzenia. Pierwsze, zorganizowane przez Circolo di Roma, na którym premier Włoch, Segni, składał imieniem wszystkich przybyłych delegacji hołd Jubilatowi, a redaktor naczelny „Osservatore Romano" Della Torre w dłuższym przemówieniu scharakteryzował linię przewodnią obecnego Pontyfikatu.

Na posiedzeniu niedzielnym urządzonym przez włoską Akcję Katolicką kardynał Genui, Siri, mówił o pontyfikacie Piusa XII z punktu widzenia życia Kościoła Powszechnego w trudnych warunkach dnia dzisiejszego.

W imieniu Ojca św. dziękował przybyłym substytut Sekretariatu Stanu, mons. Dell'Acqua. W środę 14 marca ks. arcybiskup Gawlina i piszący te słowa zostali przyjęci na specjalnej audiencji przez tegoż mons. Dell'Acqua i wręczyli mu adres hołdowniczy dla Ojca św. oraz dar polski, ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. Ks. arcybiskup wyraziwszy uczucia wszystkich wiernych Ojcu św. Polaków zarówno w Kraju pod bezbożną przemocą, jak i żyjących w drobnej swej części na uchodźstwie, przetłumaczył na język włoski złożony adres a następnie przedstawił pokrótce działalność komitetu obchodu. Wręczony też został specjalnie wydany z tej okazji numer ŻYCIA odbity na pięknym kredowym papierze. Rozmowa, która się potem rozwinęła, miała charakter bardzo serdeczny. Mons. Dell'Acqua pytał o szczegóły działalności komitetu obchodu, o jego członków i zapewnił, że tego samego dnia jeszcze Ojciec św. otrzyma adres a także ryngraf i sprawozdanie z udziału polskiego w uroczystościach ku Jego czci.

W „Osservatore Romano" w numerze opisującym obchód znalazła się specjalna wzmianka o udziale Polaków, której dano znamienny tytuł: „La tradizionale devozione dei Polacchi".

Jan Baliński-Jundziłł

KONKURS NA LIST DO KRAJU

Redakcja biuletynu „Wolna Europa" ogłasza konkurs na list do Rodaków w Kraju, wyjaśniający motywy skłaniające Polaków do pozostawania na emigracji politycznej. W konkursie mogą wziąć udział wszyscy Polacy znajdujący się w wolnym świecie. Listy nagrodzone będą wydrukowane w biuletynie „Wolna Europa" wysyłanym do Polski za pomocą balonów.

List pisany ma być na maszynie i nie może przekraczać 600 słów. Każdy list musi być podpisany. Na specjalne jednak żądanie nazwiska autorów nagrodzonych listów nie zostaną opublikowane w biuletynie. Autorzy najlepszych listów otrzymają następujące nagrody:

Pierwsza nagroda — 100 dolarów, druga — 75 dol., trzecia 50 dol.

Termin nadsyłania prac upływa 1 lipca 1956 r. Listy należy adresować:

WOLNA EUROPA
110 West 57th Street,
New York 19, N.Y., USA.

PONOWNE ARESZTOWANIE KS. BPA KACZMARKA

Przed kilku tygodniami „Osservatore Romano" podał wiadomość o prawdopodobnym ponownym aresztowaniu Ks. Biskupa Czesława Kaczmarka, Ordynariusza diecezji kieleckiej. Obecnie nadeszły wiadomości, które potwierdzają fakt aresztowania.

Przy końcu stycznia Ks. Biskup Kaczmarek zachorował na ciężką grypę. W dniu 3 lutego, w okresie choroby i gorączki Biskupa, zjawili się w jego mieszkaniu agenci „urzędu bezpieczeństwa" i dokonali aresztowania, nie bacząc na ciężki stan chorego. Osadzono Ks. Biskupa Kaczmarka w jednym z więzień, prawdopodobnie warszawskich, w którym dotąd przebywa. Choroba, niestety, nie ustąpiła, pogarszając się w ciężkich warunkach więziennych. Wiadomość, która nadeszła, mówi o pozostawaniu chorego więźnia w niebezpieczeństwie życia. Katolicy w Polsce modlą się o uratowanie życia prześladowanego Biskupa, do których to modłów przyłączy się niewątpliwie emigracja polska.

Reżym komunistyczny odnosi się szczególnie okrutnie do Ks. Biskupa Kaczmarka. Aresztowano go po raz pierwszy na początku 1952 roku. Przez prawie dwa lata przebywał w więzieniu „śledczym", w którym preparowano go do procesu. Odbył się on we wrześniu 1953 r. i był jednym z pokazowych procesów komunistycznych. Umęczony i po zbawiony niemal życia Biskup, bezbarwnym, martwym głosem przyznał się do wszystkich zarzucanych mu „zbrodni". Wyrok opiewał na 12 lat więzienia. W dwa dni później Ks. Prymas Wyszyński w kazaniu wygłoszonym w kościele akademickim w Warszawie nawiązał do tych komunistycznych. Umęczony i poktórych ofiary ludzie będą w przyszłości ze czcią najwyższą wspominali. W następstwie tego kazania w nocy z 25 na 26 września 1953 r. został aresztowany również Ks. Prymas Wyszyński i jego sekretarz Ks. Biskup Baraniak.

Na początku r. 1955 wypuszczono z więzienia Ks. Biskupa Kaczmarka. Przez rok przebywał na pozornej wolności, nadzorowany przez agentów policyjnych i bez możności powrotu do swojej diecezji. Dnia 3 lutego b.r. został aresztowany ponownie. Jako powód tego powtórnego aresztowania podano „odwołanie urlopu zdrowotnego".

PO ŁEPKACH

SŁOWO W DYSKUSJI O POWROCIE

SPRAWĘ POWROTU z emigracji do Kraju trzeba traktować z czterech punktów widzenia: a) przywódców komunistycznych w Polsce, b) społeczeństwa w Kraju, c) przywódców emigracyjnych, d) społeczeństwa na emigracji. Różnica poglądów istnieje tylko między grupami a i c, natomiast grupy b i d są ze sobą zgodne, przy czym b i d godzą się także z c. Powrotu emigracji życzą sobie tylko (a przynajmniej tak głoszą) przywódcy komunistyczni w Kraju, nie życzą go sobie natomiast ani przywódcy emigracyjni, ani społeczeństwo w Kraju, ani społeczeństwo na emigracji. Oczywiście, zarówno w grupie b, jak też i w grupie d istnieje pewna ilość ludzi odmiennego zdania, ale jest ich znakomita mniejszość.

SPRAWA WYGLĄDA zatem jasno. Niemal każdy człowiek w Polsce ma kogoś z rodziny na emigracji. Przywódcy komunistyczni nakłaniają wszystkich do powrotu, nie mogąc tylko namówić do tego członków swych rodzin. A mają na Zachodzie swoje rodziny nawet najwyżsi dygnitarze komunistyczni.

Tym bardziej zdumiewa, dlaczego przywódcy komunistyczni tak gorliwie zabiegają o powrót emigrantów. Jaki jest tego cel i sens? Propaganda powrotowa przypadła na czas z ich punktu widzenia najgorszy. Z prasy komunistycznej i oświadczeń partyjnych dowiadujemy się, że mimo takich czy innych powodzeń, dziesięt lat rządów powojennych przyniosło bilans niemal katastrofalny. Przywódcy emigracyjni mogą śmiało schować miecz do pochwy, albowiem sami komuniści przyznają się dziś do terroru, do nędzy, do upadku moralności, do zdziczenia kultury i obyczajów, do bankructwa ideologii, do braku mieszkań i podstawowych artykułów życiowych w Polsce. Czym więc chcą przywabić emigrantów?

TĘSKNOTĄ? Człowiek podobno zmienia skórę co lat siedem. Dziesięć, a zwłaszcza siedemnaście lat, to wielki kawał czasu. Tęsknota w starszym pokoleniu miała już czas wystygnąć, a młode pokolenie wrosło w obcą ziemię.

Tęsknota zresztą, jako uczucie, może się sycić dwiema pożywkami: przywiązaniem do tego, co było i miłością ziemi. Tego, co było — a wiedzą o tym doskonale emigranci i nie tają tego komuniści — od dawna już nie ma. Pozostał tylko krajobraz i nic więcej. Krajobraz jednakże jest jak zepsuty instrument muzyczny, jeśli go nie wypełnia treść zrozumiałego dla nas życia. Obczyzna może istnieć nawet we własnej ojczyźnie. Cóż komu po Tatrach, odrutowanych przez kordony bezpieki, naszpikowanych papachami i pepeszami, z upaństwowionymi schroniskami i masami partyjnych wycieczek? Krajobraz polski jest w niewoli tak samo jak ludzie.

Pozostaje miłość do ziemi albo dokładniej mówiąc: tęsknota do spoczynku w niej. Owszem, owszem, tyle tylko, że mało jest ludzi, którzy by sobie pozwalali na ten rodzaj tęsknoty. Zresztą za Rossą i Łyczakowem nawet tęsknić nie wolno.

POZA UCZUCIEM człowiek posiada jeszcze rozum i wolę. A zarówno rozum jak i wola jasno dyktują, że do Kraju nie ma po co, a nawet nie powinno się wracać. I tu nie pomoże żadna demagogia o zdradzie, wyrzeczeniu, odszczepieństwie. Bo, po pierwsze, patriotyzm wcale nie jest jednoznaczny z miejscem zamieszkania, a po wtóre, każdy, kto nie jest komunistą, rozumie, że jedyne pole dla patriotyzmu znajduje się na wolności. Propaganda komunistyczna jest w tym punkcie albo nieskończenie naiwna, albo nieskończenie cyniczna. Pisemko radiostacji „Kraj" zamieszcza np. na pierwszej stronie jednego z numerów żałobne wspomnienie o Bierucie lejąc łzy krokodylowe nad służalcem, który nawet po własną śmierć musiał wyjeżdżać do Moskwy. Z każdego zdania tego tygodniczka wygląda kosmata łapa wilka, który pragnie w oczach Czerwonego Kapturka-emigranta uchodzić za babunię. O wiele uczciwsze są jawne organy partyjne, które w ogóle sprawy powrotu nie dostrzegają. Warto zwrócić uwagę na fakt, że do powrotu wcale nie wzywa rząd „ludowy", lecz tylko specjalnie powołane „Towarzystwo Łączności z Wychodźstwem", a wśród jego członków nie ma bynajmniej wyższych figur partyjnych.

JEŚLI WIĘC nie tęsknota, to może warunki materialne miałyby zwabić emigrantów do Kraju?

Niestety! Walkę o emigrację przegrał nie tylko reżym komunistyczny, ale przegrywa ją też i emigracja. Powiedzmy sobie otwarcie, że spora część emigracji nie ma zamiaru nigdy powrócić do Kraju. Robotnicy, rzemieślnicy i kupcy znaleźli takie warunki w Anglii, o jakich nie mogliby nawet marzyć w Kraju, zarówno dziś, jak i przed wojną. Małżeństwa z Angielkami i Szkotkami zawarło około dwudziestu tysięcy Polaków, tyluż mniej więcej przyjęło obywatelstwo brytyjskie, przy czym liczba ta co roku, nieznacznie co prawda, wzrasta, inteligencja zawodowa średniego i młodego pokolenia okazała się najmniej odporna na korzyści i powaby obcego życia, młodzież, a zwłaszcza dzieci, można śmiało w dalszej perspektywie odpisać z naszych rachunków. Emigracja może trwać przez jedno pokolenie. Drugie pokolenie dorasta i rodzi się już **w swoim kraju, u siebie**, a nie na obczyźnie. Jedyny sposób, aby zachować młodzież i dzieci przy polskości na obczyźnie, to by chyba była niewola babilońska albo czterdzieści lat wędrówki przez pustynię.

Emigracja zatem już dziś, w dziesięć lat po wojnie, nie tak śpiesznie wybiera się do Kraju, bez względu na to, co przywódcy komunistyczni powiedzą o przywódcach emigracyjnych i bez względu na budowę Pałaców Kultury i hut imienia Lenina nad morzem nędzy i ucisku.

JEDYNA IDEA, która by mogła porwać emigrację do powrotu, to wolność Kraju i możność budowania życia na sposób zachodni. W Polsce jest przecież wszystko do zrobienia! Gdyby się zjawiła nadzieja, że Polskę będzie można budować w taki sposób, w jaki żyją wolne narody zachodnie, kto wie, czy więcej niż połowa emigracji wojennej i pewien odsetek starej nie powróciłby do Kraju. Dzieci wróciłyby z rodzicami, a znaczny odsetek młodzieży wróciłby pod wpływem entuzjazmu. Ale i tak, pozostałaby spora część robotników i rzemieślników, większość pożenionych z cudzoziemkami i znaczny odsetek młodych inteligentów, przedsiębiorców i kamieniczników. Najchętniej natomiast wróciliby ci, których komuniści nie życzą sobie wcale: ludzie starzy. A starzy będziemy wkrótce wszyscy, którzy pamiętamy Polskę i którzy polskości nie chcemy zamienić na nic innego. Nawet całkiem młodzi ludzie, którzy opuścili ojczyznę w wyniku najazdu, skarżą się już dzisiaj na nadciśnienie i artretyzm. Jeszcze jeden plan pięcioletni, a będą się oglądać za fotelem. Mniej więcej w roku wyznaczonym na ukończenie kolektywizacji w Polsce (1970) będą musieli słuchać syrenich głosów o powrocie przez trąbkę Eustachiusza.

ALE EMIGRACJA ŻYJE NADZIEJĄ, której się latami nie mierzy i wiarą, która góry przenosi.

W ROSJI i za linią Curzona żyje ciągle parę milionów Polaków, w tym grube tysiące w łagrach i więzieniach. Tych rodaków nie wzywa się zgoła do powrotu. Ani słowem nie wspomniał o nich w sejmie w bardzo starannym referacie o wychodźstwie i uchodźstwie polskim, przedrukowanym w broszurze „Polonia" (Warszawa 1956), wicemarszałek prof. S. Kulczyński. Skoro więc zapomniało się o milionach na wschód od Sanu i Bugu, to zapewne nie patriotyczne motywy powodują także tęsknotą komunistów za braćmi z zachodniej strony żelaznej kurtyny.

Bo za pozostaniem emigracji w wolnym świecie przemawiają wszystkie racje z punktu widzenia Kraju.

Społeczne: brak mieszkań, trudności z ludźmi starymi i chorymi. (P. Hugon Hanke bolał nad Polakami umysłowo chorymi w szpitalach angielskich; w jaki sposób mogłaby im pomóc Polska Ludowa?)

Gospodarcze: pomoc rodzinom, paczki i lekarstwa, a więc wcale poważny a bezpłatny import; eksport: wszak głównie Polacy poszukują na angielskim rynku towarów produkcji krajowej.

Kulturalne: emigranci chłoną dobre książki polskie, z których wielu podobno nabyć nie można w Kraju jako wydawnictw luksusowych; popierają polskie występy kulturalne za granicą, filmy, koncerty itd.

Polityczne: wspomniany prof. Kulczyński mówił w sejmie: „Polska Ludowa... nie może wyrzec się tych, którzy z różnych przyczyn powrócić do kraju nie mogą, a pragnęliby pomóc narodowi i przyczynić się do zacieśnienia więzów z innymi narodami, więzów umacniających niepodległość i siłę współczesnej Polski". „Sprawą, która szczególnie jednoczy uchodźstwo polskie ze społeczeństwem w kraju, jest bezpieczeństwo Polski i nienaruszalność jej granic na Odrze i Nysie". A więc nawet komunistyczni przywódcy widzą korzyści polityczne, wypływające z pozostawania Polaków na emigracji!

Swoją drogą, ci przywódcy gubią się w swych poglądach, które najlepiej możnaby sparafrazować stylem Gombrowicza: „wracajcie, albo i nie wracajcie; emigracja spiskuje z generałami hitlerowskimi, albo i zgodna jest ze społeczeństwem w Kraju" etc.

Wydaje się oczywistym, że wzywanie emigracji do Kraju nie leży w interesie społeczeństwa polskiego w żadnym wypadku. Za cenę częściowego wynarodowienia na Zachodzie zyskujemy bardzo wiele. I te zyski właśnie, a nie straty są solą w oczach naszych wrogów. W ich interesie leży zlikwidowanie emigracji politycznej, aby móc potem siać zamęt i zyskiwać swych stronników wśród emigracji tzw. zarobkowej.

Walka toczy się o tę właśnie starą emigrację, zjednoczoną dziś ściśle ideowo z nową emigracją wojenną. Aby tę pierwszą pozyskać, trzeba albo sparaliżować, ośmieszyć i zlikwidować emigrację wojenną albo ją zwabić i przekupić. W tym leży istota zagadnienia propagandy powrotowej. Nie w interesie Kraju, nie w interesie emigracji, lecz w interesie międzynarodowego komunizmu, który sobie szuka dróg do wielomilionowej masy Polaków na Zachodzie i za wszelką cenę pragnie obalić barierę emigracji polityczno-ideowej.

I tylko tym można sobie tłumaczyć fuszerkę propagandy powrotowej.

J. B.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. WPŁATY a) w krajach bloku szterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: „Libreria Polaca", Serrano 2076 piso I, Buenos Aires AUSTRALIA: „Vistula" (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Mme E. Kułakowska, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska Casa „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i Mons. W. J. Słapa, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: ks. K. Stolarek, OMI, 29 Av. Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, S. et M.), CC 5 603 40. Pren. kwart.: 540 fr. HOLANDIA: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. International Book Service, 57, Queen Str. W., Toronto NIEMCY: St. Mikiciuk, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45 oraz „Informacja Prasowa", Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. NORWEGIA: B. Łubiński, Kongesgat 2, Moss. STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication", 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz „Pomoc" — Eksport - Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr. A Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Pren. kwart. 5.00 frs. SZWECJA: Mgr. B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734